Świat MŁODYCH
GAZETA HARCERSKA

Nr 103 — 104 (1677 — 1678) Warszawa, 26 — 29 grudnia 1967 r. Cena 1 zł

WIELKA KRZYŻÓWKA NOWOROCZNA PZU

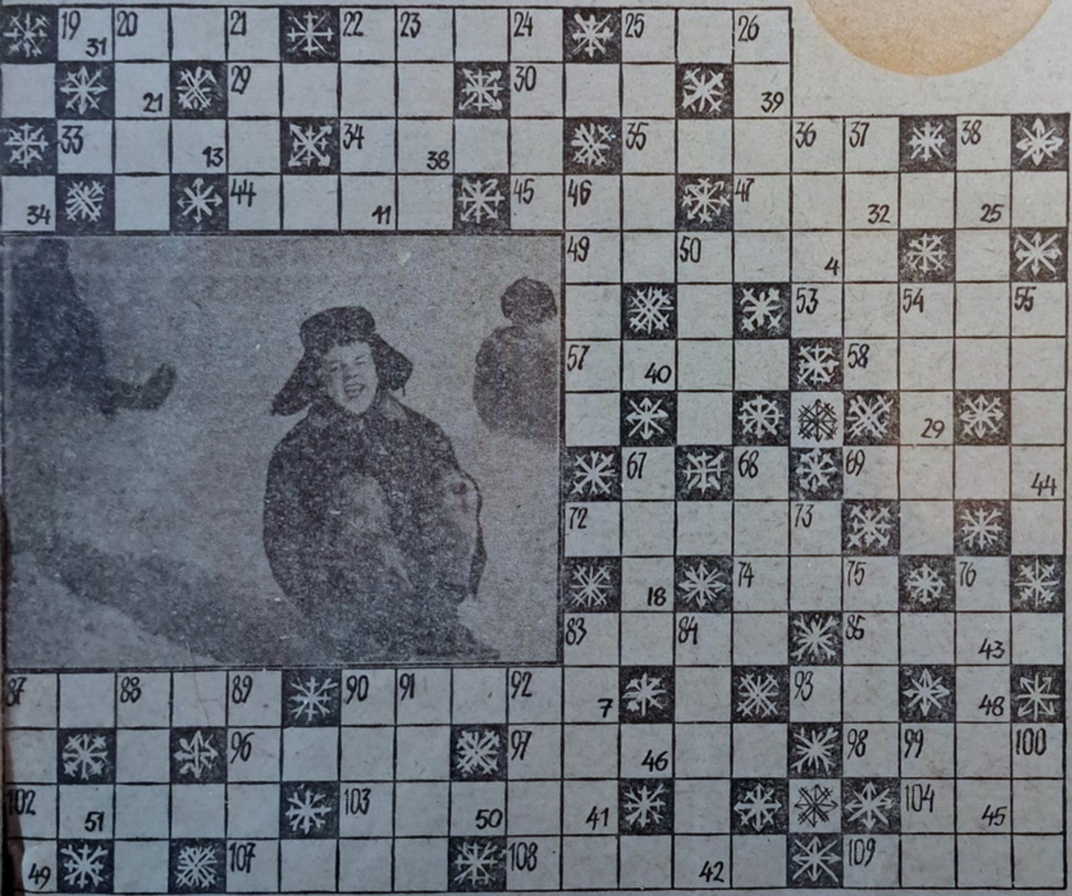

NAGRODY ZA ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI PZU:

2 ROWERY ● 2 RADIOODBIORNIKI TRANZYSTOROWE „Sylwia" ● 2 ZEGARKI NA RĘKĘ ● 4 GITARY ● 2 APARATY FOTOGRAFICZNE ● 5 BUDZIKÓW ● 10 PIŁEK ● 5 KOMETEK ● 20 BONÓW KSIĄŻKOWYCH

następne „Światem ędzie to er w no- u. Tym ra- ej już ob- i w cenie ślimy jed- go za nie niż nume-

Aż tydzień musiałeś czekać na kolejny numer gazety.

W nagrodę — spotyka Cię niespodzianka! Znów „Świat Młodych" ma 16 stron.

Znajdziesz w nim:

- opowiadanie kryminalne pt. „Ostatni atak Starego Rekina"
- Niesamowite historie o zatopionym lądzie
- Opowieść o lotnikach, którzy najchętniej latają na plecach
- Niezwykłe dzieje listów doręczonych po 23 latach
- Wesołą opowieść pt. „Druh Sylwester"
- Nieznane dzieje „Pony Expressu", czyli przygody na Dzikim Zachodzie
- ... oraz wiele innych reportaży, artykułów i opowiadań.

A więc dziś spotykamy się z ostatnim w tym roku „Światem Młodych".

Życzymy ciekawej lektury.

Mistrz Polski w akrobacji samolotowej — Stanisław Kasperek i jego samolot „Beskid I".

W PĘTLI, BECZCE, KORKOCIĄGU...

OTO WSPANIAŁY SAMOLOT — supernowoczesny, kilkakrotnie przekraczający szybkość dźwięku. Pilot takiej maszyny musi być fachowcem najwyższej klasy — precyzyjnym... mózgiem elektronowym, kontrolującym błyskawicznie różne skomplikowane mechanizmy i przyrządy pokładowe. W takim samolocie najmniejszy nawet błąd w pilotażu, może spowodować katastrofę. Dlatego każdy lot na ponaddźwiękowej maszynie jest dokładnie zaplanowany jeszcze na ziemi, a w trakcie lotu nie może być żadnych odchyleń — chyba że jest wyraźny rozkaz. Na przykład w czasie lotu bojowego pilot jest często naprowadzany na cel ataku rozkazami radiowymi z ziemi. Człowiek nie widzi więc celu. W odpowiedniej chwili wystrzeliwuje rakietę, bądź rakiety, i wraca do bazy. O wyniku swojego ataku dowiaduje się potem.

Nie myślcie jednak, że współczesne lotnictwo to tylko ponaddźwiękowce! Mamy w kraju wspaniałych pilotów, którzy latają na samolotach o maksymalnej szybkości 200—250 km/godz. Domyślacie się pewnie, że mam na myśli samoloty sportowe, na których można wykonywać w powietrzu wspaniałe ewolucje, wzbudzające aplauz obserwatorów. Dla pilotów tych samolotów najprzeróżniejsze pętle, beczki, korkociągi to chleb powszedni, nie mówiąc już o bardziej skomplikowanych akrobacjach, jak na przykład... głowa w głowę!

Otóż, aby wykonać w powietrzu tę arcytrudną figurę, muszą wystartować dwa samoloty. Jeden samolot leci ponad drugim. Nagle ten, który jest wyżej, odwraca się na plecy — pilot leci więc głową w dół. Chodzi teraz o to, ażeby oba samoloty leciały idealnie równo: kabina w kabinę, skrzydło w skrzydło... Odległość między głowami (kabinami) pilotów winna być jak najmniejsza. W takiej pozycji trzeba lecieć przez kilka minut, wykonując równocześnie dodatkowe ewolucje. Pięknie wygląda taki pokaz — po prostu balet w powietrzu! Ale ileż trudu i treningu on wymaga. Wiedzą o tym tylko sami piloci...

Mistrz Polski i jego samolot

PIERWSZYMI PILOTAMI, którzy odważyli się wykonać lot... głowa w głowę — byli dwaj bracia: Ryszard i Stanisław Kasperkowie. Obaj należą do czołowych polskich... akrobatów powietrznych, a pan Stanisław jest nawet aktualnym mistrzem Polski podniebnych ewolucji.

Postanowiłem poznać obu pilotów i pojechałem do Świdnika, gdzie mieszkają. Pan Ryszard (starszy) kręcił właśnie swoją codzienną porcję akrobacji wysoko ponad lotniskiem aeroklubu, natomiast mistrz obserwował brata z ziemi.

— Dobrze kręci? — zapytałem.

— Nieźle — usłyszałem krótką odpowiedź. — To przecież trzeci akrobata w kraju.

— W takim razie, jak musi kręcić mistrz?...

— Prawie tak samo.

— Ale szybką beczkę w pionie, z wyjściem na plecach do odwróconego korkociągu, wykonał na ostatnich mistrzostwach Polski tylko pan!

Mistrz spojrzał na mnie ciekawie.

— Założę się, że pan jest z prasy.

— Jak to mistrz wyczuł?...

— Notes wystaje z kieszeni.

No i zapoznaliśmy się. Mistrz zaprowadził mnie zaraz do swojego samolotu, na którym zdobywa powietrzne laury. Jest to piękny, jednomiejscowy samolocik „Beskid I", przerobiony z czeskiego samolotu „Zlin-26".

— Czy przeróbki były konieczne?... — pytam.

— Oczywiście! Zlin-26 to samolot dwumiejscowy, nie bardzo przystosowany do akrobacji. Trzeba więc było przebudować kabinę, wyrzucić wiele zbędnych elementów, a przede wszystkim zwiększyć moc silnika. Idealny samolot sportowy powinien być bowiem lekki, lecz równocześnie bardzo mocny, zwrotny. Gdyby tak jeszcze udało się wmontować dwukrotnie mocniejszy silnik... O, rany, co by wtedy można wyczyniać w powietrzu?... Fantazja! W tym jednak sęk, że silników idealnych po prostu brak i to nie tylko u nas...

Najlepsi w powietrzu

MISTRZOSTWA POLSKI w akrobacji samolotowej odbywają się co roku. Natomiast co dwa lata rozgrywane są mistrzostwa świata. Rzecz oczywista, tytuły uzyskują ci piloci, którzy potrafią zademonstrować komisji sędziowskiej najbardziej trudne wiązanki figur akrobatycznych. A figur tych jest bardzo dużo, różny jest też stopień ich trudności. Każdą figurę sędziowie oceniają w punktach — od 0 do 20 punktów. Bierze się również pod uwagę rytm akrobacji oraz płynność wiązanek. Pilot nie może też przekroczyć tzw. strefy — to znaczy akrobacje musi wykonać w wyznaczonym obszarze powietrznym, nad lotniskiem.

Każdy pilot wykonuje wiązankę figur akrobatycznych, obowiązkowych, oraz wykonuje tzw. układ dowolny. Właśnie, ten układ dowolny decyduje najczęściej o punktowanych miejscach.

Na ostatnich mistrzo[stwach] w Moskwie duż[ą] klasę zademonstrowali pi[loci] radzieccy, którzy za[jęli] pierwsze miejsca. Startowali oni na znakomitych nowych samolotach „Jak 18-P", które posiadają piękny, aerodynamiczny kształt, a przede wszystkim rewelacyjny silnik o dużej mocy.

W przyszłym roku mistrzostwa świata przeprowadzone zostaną w NRD. Już teraz piloci sportow[i] Związku Radzieckiego, Hiszpanii, Węgier, Czechosłowacji no i Polski — stanowiący czołówkę światową — przygotowują się d[o] tego startu, wykręcając co dziennie w powietrzu dziesiątki korkociągów.

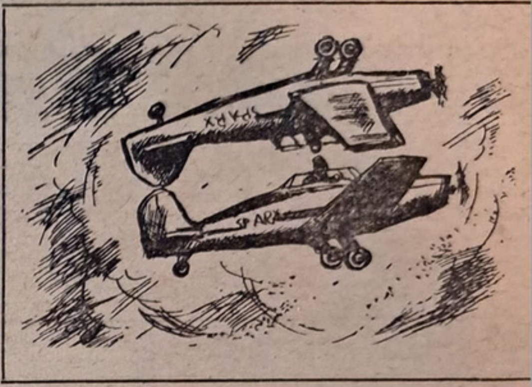

Gdzie jest śmigło?

CO ROBIĆ, żeby sta[ć] się dobrym pilotem? — zadaję pytanie pan[u] Stanisławowi.

— Przede wszystkim trzeba się szkolić — odpowiada mistrz. — Ja zacząłem od najmłodszych lat.

Niemce, to niewielka miejscowość pod Lublinem. Uczęszczałem tam d[o] szkoły, natomiast mój star[...]

NIEKTÓRE TYPY SAMOLOTÓW

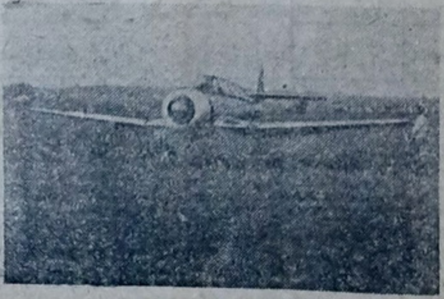

Samolot sportowy polskiej konstrukcji „Bies". Byłby to niezły samolocik, ale, niestety, ma za słaby silnik.

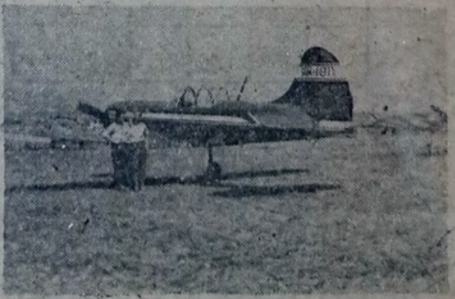

Słynny radziecki „Jak 18-P", na którym w roku 1966 piloci radzieccy wywalczyli tytuły mistrzostw świata w akrobacji.

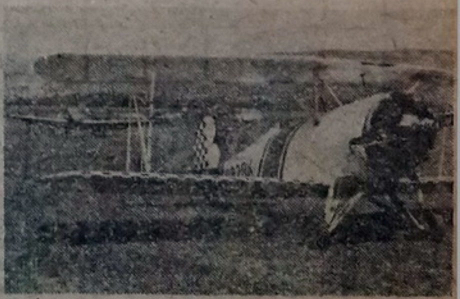

Samolot sportowy konstrukcji angielskiej „Experi[...] mental".

Najsłynniejsi piloci świata w akrobacji samolotowej: (od lewej) Czechosłowak — Ladisław Bezak, Hiszpan — Tomasz Castano i Węgier — Józef Toth.

szy brat uczył się w technikum w Lublinie. On pierwszy zapisał się do aeroklubu na kurs szybowcowy. W sobotę przyjeżdżał do domu i opowiadał wszystkim o samolotach i szybowcach. Tak się zapaliliśmy., iż w klasie utworzyliśmy kółko modelar-

skie. Brat był instruktorem. Kleiliśmy modele, startowaliśmy z nimi nawet na poważnych zawodach i odnosiliśmy sukcesy. Potem zapisałem się na kurs szybowcowy i wreszcie zacząłem startować na samolotach. Taka jest w zasadzie droga, żeby zostać pilotem.

— Pyta pan o moje przygody w powietrzu?

— Unikamy przygód. Dla nas przygoda, to najczęściej wielkie niebezpieczeństwo. Ale o jednej mogę opowiedzieć.

— Trenowałem. Kręciłem w powietrzu różne esy-floresy, przerabiałem wiązankę za wiązanką, lot na plecach, świecę, pętlę. Silnik warczał jak szatan. Przy niektórych figurach trzeba otworzyć gaz na cały regulator. Nagle przy którejś tam figurze słyszę wielki łomot. Tak, jakby ktoś walnął w samolot drągiem. Równocześnie zgasł silnik. Awaria? Zderzyłem się z kimś?

W następnej sekundzie stwierdziłem, że urwało się śmigło.

— I wylądował pan pewnie na spadochronie?

— Szkoda mi było samolotu, wylądowałem bez śmigła! Pilot nigdy nie powinien tracić zimnej krwi. Krążyłem nad lotniskiem jak szybowiec, zniżając lot. Udało się. A śmigło odnalazłem. Leżało daleko za lotniskiem. Dziś wisi w moim pokoju.

— Talizman?

— Po prostu pamiątka z powietrznej, jak to pan mówi, przygody.

PEWNIE MARZY PAN o supernowoczesnym odrzutowcu.

— Owszem, latałem już na nich, ale osobiście uwielbiam swojego „Beskida". To malutka, lekka, strasznie wywrotna w powietrzu maszyna, a ja lubię latać głową w dół. Taki już jestem.

Napisał:
ZBIGNIEW PAWŁOWSKI

SPORTOWYCH

„Stamp" — samolot sportowy francuski.

ZGODZIŁAM SIĘ na to, że w tym roku zabawa sylwestrowa odbędzie się u mnie. Zabawa ma być kostiumowa, goście sami mają się poprzebierać, a ja na razie przebrałam się w twarzowy strój kucharki, przebieram rodzynki i szykuję dla gości placek:

2 kg mąki, 10 żółtek, 35 dkg drożdży, 1/2 kg cukru... no i masz babo placek!

Otwierają się drzwi i, jak śliwka w kompot, wpada Malinowska w swoim kolejnym wcieleniu, bo Malinowska co dzień kogoś małpuje. Raz ubiera się jak Kasia Sobczyk, raz udaje Edytę Wojtczak, raz charakteryzuje się jak Pola Raksa. ...Tym razem przyszła jako Karin Stanek: w dole dżinsy, w górze warkoczyki, tylko głos nie ten, chociaż donośny:

— W co ja mam się przebrać?! W co ja mam się przebrać?!

— Przebierz się w fartuch — powiadam — i pomóż mi.

— Ale ja mówię o zabawie, a nie o pomaganiu!

— Przebierz się za Cygankę — mówię — bo nic innego nie przyszło mi do głowy.

— Mądra jesteś! — sarka Malinowska. — A pamiętasz jak w zeszłym roku Zielińska przebrała się za Cygankę? Dziurkówna ledwie ją zobaczyła na zabawie w tym stroju, to od

KĄCIK KAROLINKI

razu powiedziała: „Piękny kostium, pasuje do ciebie jak ulał! Miesiąc temu **wycyganiłaś** ode mnie bransoletkę i teraz sobie w niej paradujesz!

— No to postaraj się o jakiś strój w greckim stylu — podsuwam nowy pomysł.

— O greckich stylach to ty mi już lepiej nie mów. Nie pamiętasz, co było ostatnio na historii? Pani spytała mnie, jakie były style, a Walczak — zamiast podpowiedzieć jak człowiek, że był styl dorycki, koryncki, i joński — podszepnął mi, że był styl dorycki, koryncki i... koński! Ja to powtórzyłam... Zwymyślałam go od baranów, ale co z tego?

— Skoro zwymyślałaś Walczaka od baranów, to masz prawo przebrać się za pasterkę — podpowiedziałam chytrze.

— Za pasterkę na Sylwestra? Coś, ty, Karolinko! Przecież pasterka jest na Boże Narodzenie!

— No to za królewnę Śnieżkę...

— Wolałabym coś bardziej postępowego — dąsa się Malinowska. — Królewny wyszły z mody.

— A co sądzisz o Amazonce?

— Też masz pomysły! W rzekę się będę przebierać?

— Amazonka to nie tylko rzeka — pouczam ją cierpliwie. — To również taka dama, co jeździ konno...

— Od czasu, kiedy przez tego Walczaka wkopałam się z końskim stylem, nie chcę słyszeć o koniach! — krzyczy Malinowska.

— No to przebierz się za Walentynę Tiereszkową.

— Przecież za Walentynę przebiera się Zielińska...

— Ja muszę się czymś różnić od innych, a w ogóle to chciałabym się wyróżnić.

— No to przebierz się za Malinowską i daj mi spokój, bo świąteczne ciasto się przypali. Wiecznie kogoś naśladujesz, to przynajmniej na bal kostiumowy bądź sobą.

— Za Malinowską? — zastanowiła się Malinowska — a wiesz, że to jest pomysł! Na pewno każdy pomyśli, że to albo Kasia Sobczyk, albo Edyta Wojtczak, albo Pola Raksa, albo Karin Stanek...

— Pożegnałam ją krótko...

**Nie ulegaj kiepskiej modzie
i to sobie wbij do głowy:
Sobą trzeba być na co dzień,
nie na balu kostiumowym...**

...czego i Wam serdecznie życzę.

KAROLINKA

Ciekawa historia rękawic

● Historia rękawic jest bardzo długa i ciekawa. Zaczyna się już w III wieku przed naszą erą, w starożytnej Persji. Rękawice nazywano tam skórzanymi dłońmi i używano ich podczas konnej jazdy, a właściwie podczas ujeżdżania koni, aby ochronić ręce przed otarciem. Od Persów nauczyli się używać rękawic Grecy, a potem Rzymianie.

W okresie wczesnego średniowiecza rękawice są nie tyle przedmiotem użytku, ile symbolem władzy feudalnej i kościelnej. Wręczają je władcy swym wasalom.

Rękawic używano też do polowań z sokołami. Przed rozpoczęciem polowania trzymano na ręce zakapturzonego ptaka, który bardzo łatwo mógł zranić rękę swymi ostrymi pazurami. Dla ochrony zakładano więc grube rękawice do pół łokcia.

Uważano je również za symbol bogactwa. Ofiarowywano je jako wykwintny podarek w dniu ślubu. Podarowanie komuś własnych rękawiczek, lub choćby jednej, znaczyło tyle, co oddanie się w niewolę, było wyrazem uwielbienia. Rzucenie zaś rękawicy pod nogi lub w twarz, było wyzwaniem do walki, na pojedynek, było wyrazem obrazy. (j. k.)

Aeropociąg

● W pobliżu Paryża przeprowadzono ostatnio próby z eksperymentalnym „aeropociągiem", wyposażonym w trzy silniki odrzutowe i poruszającym się po betonowym torze, na tzw. poduszce powietrznej. Na odcinku 16 km pojazd osiągnął szybkość dochodzącą do 375 km na godzinę! (j.k.)

Seria królewskich statków

● „MIESZKO I" i „BOLESŁAW CHROBRY" — dwa nowoczesne motorowce nazwane imionami pierwszych polskich królów, którzy przyłączyli do Polski Pomorze Zachodnie — pływają już pod polską banderą. W budowie znajdują się dwa dalsze statki tej serii. Są to motorowce: „Bolesław Śmiały" i „Bolesław Krzywousty". Wykonują je — na zamówienie Polskich Linii Oceanicznych — szczecińscy stoczniowcy.

Stocznia szczecińska przygotowuje się do budowy dalszych statków, które nosić będą imiona polskich królów. (j. k.)

Rys. J. Rocki

Chłopiec z innego świata

KONIEC ROKU. Grudzień. Automaty, jak zawsze o tej porze, odczuwały silne trzeszczenie w kadłubie, a maszyny elektronowe popełniały czasem błędy. Dlaczego to rozprężenie...? Altan jak co dzień wyrwał kartkę z autokalendarza. O rety! To już grudzień 2967 roku! Na dzisiaj Atlan miał przygotować zadanie pt. „Co wiem o ludzkości, żyjącej 1000 lat temu". Postanowił znaleźć się w tej odległej epoce. Włączył wehikuł czasu.

Kiedy ocknął się, stał na małej ścieżce prowadzącej w głąb parku. Rozejrzał się dookoła. Zobaczył potężne drzewa, na które zimą położyła już swoją piękną powłokę o cudnych, fantastycznych kształtach. Patrzył na krzaki obsypane białymi płatkami, pięknie uwydatniającymi się na tle ciemnego otoczenia. Słońce zachodziło już, roztaczając swoje ostatnie promienie.

Atlan stał zachwycony widokiem. Nigdy nie widział czegoś równie pięknego. Przyzwyczajony był do schematycznego życia, pełnego tylko automatów, maszyn i matematyki. Pomyślał, że ludzie mieszkający tutaj muszą być dobrzy, szlachetni i piękni jak ich otoczenie.

Z zadumy wyrwały go głosy rozlegające się gdzieś w oddali. Ruszył w tym kierunku. Im bardziej zbliżał się tym lepiej rozróżniał pojedyncze słowa. Rozumiał je dobrze, dzięki aparatowi, który spoczywając w kieszeni kurtki Atlana wszystko błyskawicznie tłumaczył. Teraz dopiero Atlan zauważył ludzkie istoty. Były mniej więcej podobne do niego. Jedno jednak uderzyło go w ich wyglądzie. Każdy był inny, jeden ładny, drugi nie. Nie mógł tego zrozumieć, będąc przyzwyczajonym do ludzi z jego czasów: pięknych, ale łudząco do siebie podobnych. Toteż patrzył, zdziwiony, na pięciu młodych chłopców, którzy, śmiejąc się, rzucali kamieniami do psa. Pies, podkuliwszy ogon, uciekał na swoich małych, krótkich nóżkach.

Atlan był oburzony. Jego koledzy nigdy czegoś podobnego nie robili. Podszedł więc do chłopców i zapytał: — Dlaczego to robicie? Tak nie wolno!

Nie dokończył. Chłopcy roześmiali się drwiąco i jeden z nich tak popchnął Atlana, że zatoczył się i byłby upadł, gdyby nie czyjeś ręce. Odwrócił się. Zobaczył szczupłą dziewczynę, która pociągnęła go za rękaw: — Chodź!

Szli w milczeniu po pustych alejkach parku. Kątem oka obserwował nieznajomą. Miała długie, ciemne włosy i również ciemne, prawie że czarne oczy. Nie była piękna, ale podobała mu się. Podziękował. Dziewczyna machnęła ręką — nie ma za co. Po chwili przeszła na inny temat: — Jak ci na imię, mnie Lidka.

— Atlan! — odpowiedział.

Rozmowa nie kleiła się. Atlan przypomniał sobie nagle, po co tu przyjechał. Chciał poznać ludzi, ich życie.

Szybko powiedział o tym Lidce. Słuchała z zapartym tchem.

— Czy pokażesz mi ten świat, w którym żyjesz? — zapytał Atlan. W jego głosie było tyle zaufania i wiary, że dziewczyna wyciągnęła rękę i zwyczajnie kiwnęła twierdząco głową. (rj).

Opowiadanie to napisała
MAJKA Z KRAKOWA

Ostatni atak „Starego Rekina"

INSPEKTOR LESAGE, wyjrzał przez okno swojego gabinetu w paryskiej Prefekturze policji i zadumał się głęboko. Musi tu siedzieć i pracować nad sprawą, która ciągnie się kilka miesięcy i nie wiadomo, kiedy wreszcie ją zakończą. Naczelnik zaś zaczyna już przebąkiwać o konieczności zaangażowania młodego podinspektora Presteau — „do pomocy".

— Będzie pan mógł, inspektorze, trochę oderwać się od pracy, odpocząć. Oczywiście cenimy pańskie doświadczenie, ale niechże i młodzi czymś się wykażą. Rzecz jasna, zależy mi na tym, aby pracował pod pańskim kierownictwem. Kiedy nas, starych weteranów zabraknie, ktoś przecież musi czuwać nad bezpieczeństwem miasta — powiedział dziś rano naczelnik.

Inspektor Lesage rozumiał dobrze, że musi kiedyś odejść. Chciał jednak zakończyć swoją karierę jakąś błyskotliwą sprawą, czymś, co by znowu przypomniało mieszkańcom Paryża, że — „Stary Rekin" — jak go kiedyś nazywano — jeszcze nie zdziadział zupełnie, że umysł jego pracuje wciąż sprawnie, że potrafi — tak jak dawniej — siać postrach w świecie przestępczym tego miasta.

— „Do pomocy" — zamruczał pod nosem. — On chce mi dać „do pomocy" jakiegoś żółtodzioba. Co się pod tym kryje? Od wielu miesięcy sprawa, którą prowadzę, nie posunęła się ani krok naprzód. Stary wie, co robi. Ten młody Presteau wkrótce rozpanoszy się tu jak kura na grzędzie, a potem...

Nagle zadzwonił telefon. Inspektor podszedł do aparatu.

W słuchawce jakiś zdenerwowany kobiecy głos nieomal krzyczał:

— Policja! Halo, czy to policja? Dokonano przed chwilą włamania do sklepu jubilerskiego przy rue de Roquefort 27! Bandyci rozbili kasę ładunkiem wybuchowym i zabrali naszyjnik wartości pół miliona franków! Jestem żoną właściciela! Przyjeżdżajcie natychmiast!

— Zaraz tam będę, niczego nie ruszajcie — powiedział Lesage i odłożył słuchawkę. Dopiero po chwili zorientował się, że w zamieszaniu zapomniał zapytać jak brzmi nazwisko poszkodowanego. — Starzeję się chyba naprawdę — pomyślał, wsiadając do samochodu. Stamtąd też wydał przez radiotelefon normalne polecenia: zamknąć sąsiednie ulice, zatrzymać podejrzanych i przyprowadzić ich natychmiast na rue de Roquefort 27. Taki miał już system. Nie darmo zasłużył na swój przydomek, z którego był tak dumny. Spadał na swoje ofiary jak głodny rekin, działając przez zaskoczenie. Mobilizował wszystkie siły, a tym samym zdobywał w ataku frontalnym tyle informacji, że wykrycie sprawcy było już potem kwestią godzin lub dni.

Uporczywy deszcz padający cały dzień, zamieniał ulice w wielkie kałuże. — Wszystkie ślady rozmyje — pomyślał inspektor, dojeżdżając na miejsce. — Jak się komu nie wiedzie, to na całego...

Przed sklepem zastał już dwóch policjantów. Pilnowali otworu wyciętego w szybie wystawowej. Na parapecie, tuż koło wycięcia, widniała duża plama świeżego błota, a obok na posadzce, przy ścianie, niewielka kałuża czystej wody. Błotniste ślady prowadziły do kasy i z powrotem, w kierunku wycięcia. Na ulicy ginęły zupełnie. Ulewny deszcz rzeczywiście zmył wszystko dokładnie. Zamek kasy był rozbity wybuchem, wszędzie walało się szkło ze strzaskanych

Atlantyda

W ciągu jednego dnia i jednej nocy Atlantyda pogrążyła się na zawsze w morzu. Jedynie wysokie góry nie zatonęły i stały się odtąd wyspami.

Najbardziej pasjonująca zagadka wszystkich czasów

(Artykuł zamieszczamy na prośbę czytelników „Labiryntu").

SPÓR o Atlantydę rozpoczął się jeszcze w starożytności, mniej więcej 2300 lat temu. Zapoczątkował go wielki filozof grecki — Platon (żył on w latach 427—347 p.n.e.), podając opis zniknięcia Atlantydy. Od tego czasu o tajemniczym lądzie napisano aż 25 tysięcy tomów, przy czym niektóre z nich są grubymi księgami, liczącymi ponad 500 stron. Gdyby przyjąć skromnie, że jedna kiążka ma średnio tylko 100 stron, wówczas otrzymamy około 2.500.000 słów poświęconych Atlantydzie. Jest to milion słów więcej niż napisał o niej sam Platon. Najdziwniejsze, że ten gigantyczny spór — na temat, czy Atlantyda istniała naprawdę, czy też jest wymysłem Platona — do dziś nie został rozstrzygnięty. Nim to nastąpi, pragniemy was zapoznać z obecnym stanem wiedzy i ciekawszymi hipotezami na ten pasjonujący ciągle temat.

Historia sprzed 12 tys. lat

OPOWIEŚĆ, którą przekazał Platon w swych dialogach „Timaios i Critias", jest niezwykła. Otóż na Oceanie Atlantyckim mniej więcej przed 12 tysiącami lat, znajdowała się wielka wyspą, na której żył liczny naród. Wyspa słynęła z ogromnych bogactw, złota, srebra oraz z nie-

Dokończenie str. 6 — 7

gablot. W wyłamanych drzwiach wiodących do mieszkania stał właściciel ubrany tylko w piżamę. Widocznie w momencie wybuchu leżał już w łóżku.

Lesage rozpoczyna śledztwo

„Stary Rekin" rozpoczął przesłuchanie od jubilera, który zdenerwowany kradzieżą nie bardzo wiedział, co ma robić. Chodził więc teraz niezdecydowanie po salonie tam i z powrotem, stale w piżamie:

— Nazywam się Artur Finaud, i, jeśli nie odzyskam tego naszyjnika, jestem zrujnowany! Dostałem go do naprawy tydzień temu. Jeden diament był obluzowany oprawiłem go więc i zamknąłem naszyjnik w kasie. Miałem go dziś odnieść osobiście, ale — jak pan widzi — choruję. Grypa z komplikacjami, mam wysoką gorączkę, nie wstaję z łóżka od kilku dni. Przed chwilą jednak musiałem to zrobić...

— Niech się pan położy — przerwał mu nagle inspektor. — Pańska żona mi powie dokładnie, jak to się stało.

Mówiąc to Lesage czuł jak gdyby lekkie wyrzuty sumienia, czy coś w tym rodzaju, ponieważ zdawał sobie sprawę, że jest to wybieg, że nie chodzi mu absolutnie o nieszczęsnego Finaud i jego grypę. Jak doświadczony pies myśliwski, który złapie trop i potem go zgubi, tak i inspektor poczuł nagle, że musi wrócić z powrotem do punktu wyjścia — do sklepu. Tu się rozpoczynał jego trop i stąd należało rozpocząć poszukiwania, nie tracąc czasu na rozmowy z jubilerem, które już chyba nic nowego wnieść nie mogły.

— Jasne! Że też od razu na to nie wpadłem — zamruczał do siebie, oglądajac jeszcze raz ślady błota na podłodze. — Sprytnie zrobione, teraz tylko szczegóły, żebyśmy wiedzieli, kogo szukać...

„Stary Rekin" obejrzał potem dokładnie, nie śpiesząc się, rozbity zamek przy kasie, kawałki szyb, które wyleciały w czasie wybuchu ze zdemolowanych gablot i miejsce na ścianie, nad kałużą czystej wody. Pomierzył miarką centymetrową to i owo, ale szczególnie zainteresowały go fragmenty mechanizmu, który spowodował wybuch. Okazało się, że było to urządzenie, które można było nastawić tak, aby detonator odpalił dopiero w kilkadziesiat sekund po uruchomieniu mechanizmu zegarowego.

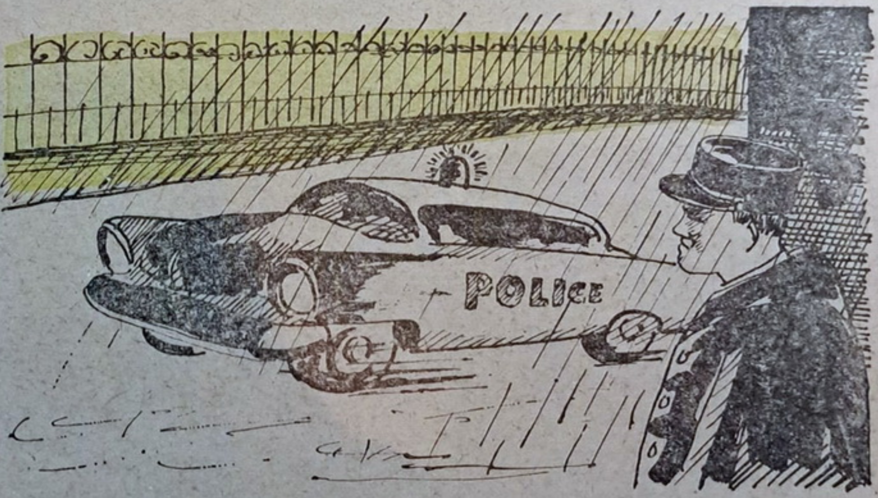

— Sprytnie zrobione — powiedział do siebie jeszcze raz i poczuł, jak mu serce zaczyna żwawiej bić, zupełnie jak dawniej, gdy wiedział, że od tej chwili wszystko, co zrobi, będzie go, krok po kroku przybliżało do rozwiązania zagadki. Rozmowa z żoną jubilera utwierdziła go jeszcze w tych przypuszczeniach:

— Siedziałam z dziećmi w salonie, przy telewizorze. Artur leżał w gościnnym. Przeniósł się tam na czas choroby,, z grypą nie ma żartów, boimy się o dzieci. Cały wieczór nie wychodził z pokoju. Z mojego miejsca w salonie widziałam drzwi do pokoju Artura, były cały czas zamknięte, widocznie mąż spał. Dopiero wybuch w sklepie go obudził. Artur wyskoczył wtedy w piżamie, prosto z łóżka i próbował się dostać do sklepu, ale drzwi ktoś zamknął od wewnątrz na zasuwkę! Musieliśmy je wyważyć łomem...

— Dziękuję pani — przerwał jej Lesage. — Chciałbym teraz obejrzeć rozkład mieszkania i jego najbliższe otoczenie. Ponieważ pewien szczegół zwrócił jego uwagę, zrobił nawet dość dokładny szkic. Zauważył bowiem, że wychodzące na taras wąskie okienko w łazience było otwarte i to od dłuższego czasu, ponieważ wiszący obok okna płaszcz kąpielowy był lekko wilgotny. Czyżby od zacinającego deszczu? Ale podłoga na tarasie była sucha, gdyż cały taras okrywał dach wsparty na słupach! W ogrodzie, również żadnych śladów nie znalazł. Choćby i jakie były, deszcz by je dawno zmył. Wrócił więc z powrotem do sklepu i to w dobrym momencie. Na rogu ulicy zatrzymał się właśnie samochód policyjny.

„Stary Rekin" dopada ofiary

PANIE inspektorze, mamy kilku podejrzanych. Kręcili się po ulicy, więc wedle rozkazu... — Sierżant, który wsadził głowę przez niewielki, wycięty otwór i powiedział te słowa, strząsnął teraz wodę z

Ciąg dalszy str. 6

ATLANTYDA

Kształt piramid egipskich jest zdumiewająco podobny do świętych budowli Majów. Zdjęcie pierwsze przedstawia grobowiec-świątynię Majów, natomiast na drugiej fotografii widzicie schodkową piramidę egipską.

Dalszy ciąg ze str. 5

zwykłych urodzajów. Zbiory obfitych plonów odbywały się dwa razy do roku. Ludzie żyli więc w dostatku i dobrobycie. Znali ponadto astronomię, matematykę, medycynę, umieli budować wspaniałe domy, pałace, świątynie.

W pobliżu morza wznosiła się święta góra, której zbocza okute były brązem. Na szczycie tej góry wznosiła się piękna świątynia pokryta srebrem i złotem. Sufity miały być wykładane kością słoniową, a podłogi i ściany — drogimi kamieniami.

Tuż obok świętej góry rozciągało się miasto otoczone murami pokrytymi miedzią i cyną. Takich miast na wielkiej wyspie było więcej i wszystkie były piękne i bogate. Do trzech portów zawijały liczne okręty z całego świata.

Naród, zamieszkujący wyspę, był zorganizowany w silne państwo dysponujące wyszkoloną armią jeźdźców i pieszych. Państwem rządziło jednocześnie 10 królów, a najstarszego z nich nazywano Atlantem, wyspę zaś — Atlantydą.

Mniej więcej 9500 lat temu — pisze dalej Platon — Atlantydzi zorganizowali wielki najazd na ziemie położone wokół Morza Śródziemnego. W zwycięskim pochodzie posuwali się szybko na wschód i dotarli aż do Egiptu i Grecji. Ale wtedy stała się rzecz straszna — Atlantydę ogarnęło gwałtowne trzęsienie ziemi i straszna powódź. W ciągu jednej nocy i jednego dnia wspaniałe budowle i pałace zaczęły walić się w gruzy. Morze wystąpiło z brzegów i cała Atlantyda pogrążyła się na zawsze w morzu. Jedynie wysokie góry nie zatonęły i stały się wyspami.

Historia jest tak niezwykła, że nawet współcześni Platonowi Grecy nie bardzo wierzyli w jej prawdziwość. Opis ten podobno dotarł do Grecji z Egiptu (około 200 lat przed Platonem) za pośrednictwem słynnego mędrca Solona. Solon w czasie swych licznych podróży do Egiptu był również gościem kapłanów w Sais. Oni właśnie przekazali mu historię o Atlantydzie. Podobno kolumny świątyni bogini Neith w Sais pokryte były hieroglifami zawierającymi opowieść o Atlantydzie. Platon spisał więc to, co było przekazywane z ust do ust.

Odkrycie na dnie morza

SPÓR O ATLANTYDĘ ożywił się po bardzo długiej ciszy. Nastąpiło to na skutek przypadku. W 1898 roku zepsuł się kabel telefoniczny, leżący na dnie Oceanu Atlantyckiego, w pobliżu Azorów. Aby go naprawić, na dno zeszli nurkowie. Przy okazji znaleźli oni, w pobliżu kabla, odpryski zastygłej lawy. Po zbadaniu znaleziska okazało się, że lawa ta w takiej postaci nie mogła zastygnąć pod wodą. Logiczne jest, że lawa, pochodząca z wybuchu wulkanu, najpierw musiała się znajdować nad wodą, a dopiero później stwardniała, już pod działaniem morza.

Stwierdzenie to nasunęło uczonym myśl, że w tym rejonie oceanu mógł kiedyś znajdować się ląd. Historia At-

OSTATNI ATAK „STAREGO REKINA"

siebie jak mokry kot. Deszcz bowiem lał coraz większy i nic nie zapowiadało jego końca.

— Niepotrzebnych mi jest kilku! Potrzebny mi jest jeden i, jeśli go macie, to resztę możecie wypuścić! — odpowiedział inspektor, udając, że nie widzi służbiście wyprężonego sierżanta, który, choć oddzielony od niego szybą i stojący na deszczu, podczas gdy Lesage kręcił się jeszcze po sklepie, czuł przed nim respekt.

— Wedle rozkazu! Ale właśnie nie wiemy, który to? Jest ich, jak już zameldowałem, kilku i...

— Potrzebny mi jest niski mężczyzna, w rozdartym — tak mi się wydaje — płaszczu, butach podbitych gwoździami, z parasolem długości 93 cm. Parasol ten zakończony jest gałką srebrzoną lub ze srebra!

— Wedle rozkazu! Mamy takiego, tylko nie wiem, czy rozmiar parasola się zgadza — zameldował sierżant, nie okazując zdziwienia. Był przyzwyczajony do wykonywania rozkazów, myślenie nie było jego najsilniejszą stroną.

— Jeśli go macie, to rozmiar parasola musi się zgadzać — powiedział Lesage. — Dawać go tu! Mamy więc jednego, z drugim będzie trudniej. To szczwany lis!

Tu następuje przerwa w opowiadaniu, gdyż autor chce o coś zapytać czytelników.

O ILE UDAŁO WAM SIĘ doczytać do tego miejsca, nie zerkając na zakończenie, to chciałbym, abyście spróbowali zastanowić się, w jaki sposób inspektor Lesage, mógł tak dokładnie określić przestępcę? I dlaczego uważał, że musi on mieć wspólnika? Ci, którzy dokładnie przestudiują plan i szczegóły śledztwa, powinni na to wpaść. Rzecz jest nie najłatwiejsza i dlatego proponuję, abyście rozpoczęli od śladów na podłodze sklepu. W nich właśnie kryje się informacja, od której zaczął inspektor. Na razie nie czytajcie więc dalej, a spróbujcie sami pomyśleć.

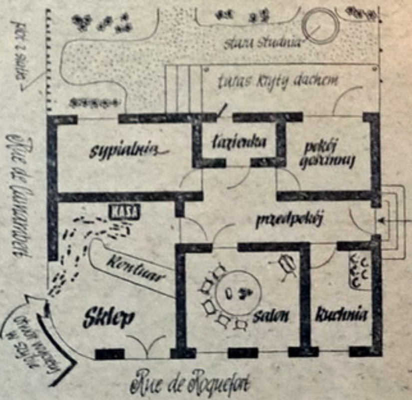

Żelazna logika inspektora Lesage

CZŁOWIECZEK, którego sierżant wprowadził do salonu, był rzeczywiście niski i drobny. Długi, czarny parasol po złożeniu postawił pod ścianą, na podłodze. Był przerażony, choć sierżant, który go skrupulatnie zrewidował — jeszcze na ulicy — naszyjnika przy nim nie znalazł. Natomiast znalazł coś innego: paczkę zawierającą dziesięć tysięcy franków w banknotach stufrankowych!

— Czego pan chce ode mnie, inspektorze? — wymamrotał niewyraźnie. — Ja protestuję! Ja złożę skargę! — zaczął nieledwie krzyczeć. — Ja...to jest niedopuszczalne, żeby uczciwych ludzi zatrzymywać i narażać na takie rzeczy!

„Stary Rekin" nic nie mówił. Wpatrywał się tylko w parasol, stojący przy ścianie. Był to rzeczywiście parasol ze srebrną rączką w kształcie gruszki. Teraz ściekała z niego woda, tworząc na podłodze niewielką kałużę! Lesage podszedł bliżej, wyjął z kieszeni miarkę i zmierzył odległość od podłogi do miejsca styku gruszki ze ścianą. Było dokładnie 93 cm! Potem gwałtownie wziął parasol do ręki jak człowiek, któremu się bardzo śpieszy. Przy sposobności srebrna gruszka musnęła nieco ścianę. Został na niej ślad, nikły i delikatny, jak gdyby ktoś narysował go twardym ołówkiem.

— Miał pan niewiele czasu, prawda? — zaledwie kilkadziesiąt sekund? Kto w takim momencie myśli, że srebro rysuje ścianę, tak jak ołówek? — zapytał, choć wiedział, że odpowiedzi nie będzie. — Myślał pan o czym innym: żeby możliwie jak najszybciej wyskoczyć przez niewielki otwór, nawet dla pana — niewielki! Wycinanie dużego otworu mogłoby się skończyć rozbiciem szyby. Mógłby ktoś usłyszeć! I dlatego rozdarł pan płaszcz. A potem musiał pan jeszcze wziąć te pieniądze. Wcześniej, przed wykonaniem zadania, by ich pan nie dostał, a później nie doczekał się na nie! Te kilkadziesiąt sekund, po uruchomieniu mechanizmu, ale przed wybuchem, miały dla pana wartość dziesięciu tysięcy nowych franków. Dlatego zapomniał pan o wszystkim, nawet o tym, żeby zrobić trochę dodatkowych śladów w sklepie! I sądził pan, że ja dam się nabrać? Ktoś, kto podchodzi do kasy, zakłada ładunek, czeka, a po wybuchu odchodzi z łupem jak gdyby nigdy nic — mimo że tuż obok niego wylatuje w powietrze stalowy zamek — musiałby być duchem, a nie człowiekiem! Ale ja w duchy przestałem wierzyć jeszcze w dzieciństwie. Pan też i dlatego, kiedy zamek wyleciał w powietrze, pan i pański wspólnik byliście już bezpiecz-

lantydy znowu stała się głośna. Tych kilka bryłek lawy stało się jakby pierwszymi namacalnymi dowodami jej istnienia. W 1948 roku Królewskie Towarzystwo Geograficzne w Szwecji zorganizowało na statku „Albatros” wyprawę w rejon Wysp Azorskich. Wyniki badań okolic dna morskiego potwierdziły rezultaty sprzed 50 lat. Dno morskie zostało zalane stosunkowo niedawno — stwierdzili uczeni szwedzcy. Przy okazji dostarczyli oni dalszych dowodów — w warstwach osadów i skał znaleźli na dnie szczątki żyjątek, które mogły żyć i rozwijać się tylko w wodzie słodkiej. Gdyby więc dno nie było kiedyś lądem, skąd wzięłyby się w jego pokładach takie stworzenia?

Co pisze święta księga Majów?

ZDOBYWCA Meksyku, Cortez, wśród wielu skarbów i trofeów przywiózł do Hiszpanii słynny Codex Troano. Jest to święta księga Majów, narodu o wysokiej kulturze, zamieszkującego kiedyś półwysep Jukatan. W 1882 roku zdołano odczytać część tej księgi, pisanej bardzo trudnym pismem. Wśród wielu informacji znajduje się tam następujący zapis:

„W roku 6 kan, w miesiącu Zak, w dniu 11 Mulak, zaczęło się trzęsienie ziemi o gwałtowności dotąd nie spotykanej i trwającej bez przerwy do dnia 13 Chuen. Wyspę Mu, kraj błotnistych wzgórz, spotkał zły los. Dwukrotnie była wzniesiona nad wodę i wreszcie nagle w nocy zginęła wraz z 64 milionami mieszkańców. Zdarzyło się to na 8060 lat przed napisaniem tej księgi”...

Nie trzeba być nawet uczonym, by nie dostrzec w tym kronikarskim zapisie ogromnego podobieństwa do opisu, jaki przekazał nam o zatonięciu Atlantydy Platon.

Zwolennicy istnienia Atlantydy dostarczają coraz nowych dowodów. Oto odkryte w dżunglach Środkowej Ameryki ruiny starożytnych miast Majów i Azteków w swojej architekturze są bardzo podobne do budowli egipskich.

Czy to tylko przypadek, szczęśliwy zbieg okoliczności? Wydaje się to mało prawdopodobne. Logicznym wytłumaczeniem tej zbieżności może być stwierdzenie, że kiedyś między kontynentem amerykańskim i afrykańskim istniał pomost — ląd lub może szereg wysp, który umożliwiał wzajemne oddziaływanie kultur odległych przecież narodów. Tym pomostem mogła być Atlantyda.

Potwierdzeniem tej hipotezy może być również podobny sposób mierzenia czasu — tak u Majów, jak i w starożytnym Egipcie.

Co było przyczyną zagłady Atlantydy?

NIE MNOŻĄC dalej przykładów na potwierdzenie istnienia Atlantydy postawmy pytanie: co mogło spowodować tak ogromną katastrofę? Wśród wielu hipotez, stawianych przez różnych uczonych, chcemy przytoczyć opinię polskiego astronoma, prof. Michała Kamieńskiego. Jego teoria zagłady Atlantydy wydaje się być bardzo prawdopodobna.

Prof. Kamieński twierdzi, że przyczyną zagłady Atlantydy mogła być kometa Halley'a, nazwana tak od nazwiska jej odkrywcy. Kometa ta jest stałym mieszkańcem naszego Układu Słonecznego i obiega Słońce wzdłuż bardzo wydłużonej elipsy... Ponieważ znany jest czas jej pełnego obiegu, łatwo więc można obliczyć, w jakich latach kometa zbliżała się, lub będzie się zbliżać, do Ziemi na niewielką stosunkowo odległość. Prof. Kamieński zadał więc sobie trudu i obliczył wszystkie jej „spotkania” z Ziemią na wiele tysięcy lat wstecz. Wynik tych obliczeń był zaskakujący. Oto w roku 9546 przed naszą erą Kometa Halley'a przechodziła właśnie bardzo blisko Ziemi. Jest to przecież ta sama niemal data, jaką podaje Platon, opisując zatonięcie Atlantydy.

Prof. Kamieński twierdzi, że w czasie, gdy kometa przechodziła w pobliżu naszej planety, z jej jądra mogła się oderwać olbrzymia bryła i spaść na ziemię. Zderzenie bryły z ziemią, lecącej z wielką szybkością, mogło nastąpić w miejscu, gdzie dziś znajduje się Zatoka Meksykańska. Na dnie tej zatoki jest olbrzymi krater, który może być śladem po tym zderzeniu. Jest wielce prawdopodobne, że upadek wielkiego meteorytu, będącego odłamkiem komety, mógł spowodować tak ogromną katastrofę. Wielka wyspa zamieszkała przez Atlantydów zatonęła.

A może przyczyna była zupełnie inna? Przecież w stu procentach nie wiemy, jak zaginęła Atlantyda, tak samo jak nie wiemy dokładnie, gdzie ona była.

Zagadka rozwiązywana od 2300 lat ciągle nie przestaje być zagadką. Być może dalsze badania wyjaśnią tę największą tajemnicę?

ST. BOROWIECKI

Rys. M. Kościelniak

ni. Pan z pieniędzmi w ciemnej uliczce de Camambert, on zaś... mniejsza z tym! Jeśli chodzi o pana, to pamiętał pan tylko o tym by zamknąć od wewnątrz drzwi dzielące sklep i mieszkanie. Jako fachowiec, stawiam panu stopień niedostateczny z zadania, które przed panem postawiono. Jest pan partaczem, a nie włamywaczem!

Wspólnik człowieka z parasolem

CZŁOWIEK Z PARASOLEM przyznał się do wszystkiego. Rzeczywiście dokładnie tak było, jak powiedział inspektor. Dla ścisłości, należy wyjaśnić, że kasa, w chwili wybuchu, była pusta. Naszyjnik skradziono wcześniej i ukryto gdzie indziej.

Kto to zrobił? Oczywiście wspólnik człowieka, którego włamanie miało być tylko próbą skierowania śledztwa na fałszywe tory. Na pewno wielu z was domyśla się już, kto nim był? Oczywiście, macie rację, był nim sam Artur Finaud. Leżał w pokoju gościnnym, gdyż przeniósł się tam na czas „choroby”. Mógł więc niepostrzeżenie dla reszty rodziny, oglądającej w tym czasie telewizję, wyskoczyć na taras, okryć się przed deszczem płaszczem kąpielowym, wyciągniętym przez otwarte okienko z łazienki, wdziać stare buty, zejść do ogrodu i podać człowiekowi z parasolem pieniądze za wykonany „napad”. Potem szybko wrócił, zdjął buty, wrzucił je do studni, a płaszcz powiesił na tym samym miejscu, znowu przez okienko. W ten sposób domownicy mogli zaświadczyć, że nie wychodził ze swojego pokoju. Nikt go bowiem nie widział. Dla nich Finaud leżał przez cały czas w łóżku. Zresztą śladów żadnych nie zostawił. Zapomniał tylko o jednym: żeby przymknąć okienko od łazienki!

Dokładne śledztwo ujawniło, że człowiek z parasolem był tego samego dnia w domu Artura Finaud, odwiedzając go pod jakimś błahym pozorem. Wtedy to ustalili oni dokładną godzinę, minutę i sekundę, kiedy Artur ma wynieść pieniądze, i uregulowali zegarki. Dowodem na to, że włamanie zostało dokonane, miał być pewien przedmiot, który Artur zostawił tego dnia w sklepie: była to zwykła lupa jubilerska, położona na ladzie. Człowiek z parasolem zabrał ją, wymienił na gotówkę u Lesage'a, przy płocie siatkowym i biegiem zwiał w ciemną uliczkę. Plan był więc obmyślony w najdokładniejszych szczegółach. Jednak, jak to zwykle bywa — nie można było przewidzieć wszystkiego. Nigdy nie można przewidzieć wszystkiego.

Zakończenie

SPRAWA WYKRYCIA sprawcy kradzieży naszyjnika odbiła się głośnym echem w prasie paryskiej. Naszyjnik, znaleziony w zegarze stojącym w pokoju gościnnym, wrócił do prawowitego właściciela. Nazwisko inspektora Lesage znowu znalazło się na ustach wszystkich. „Stary Rekin” udzielał wywiadów, zbierał pochwały i, kiedy po kilku dniach przysłano mu młodego Presteau, przyjął go łaskawie.

— Kiedy nas, starych weteranów, już zabraknie — powiedział do wpatrzonego w niego jak w bóstwo podinspektora Presteau — ktoś musi czuwać nad bezpieczeństwem miasta. Dlatego właśnie dziś rozpoczyna pan pracę w Prefekturze pod moim kierownictwem. Chciałbym trochę odpocząć...

Mówiąc to „Stary Rekin” miał wrażenie, że gdzieś już słyszał te słowa. Tylko gdzie i kiedy?

— Pamięć mi nie dopisuje, starzeję się chyba naprawdę — pomyślał.

Ale nie był tego tak całkowicie pewien.

JERZY DĄBROWSKI
Rys.: M. Majewski

JAK PRZED 23 LATY POSZLIŚMY Z TORBĄ POWSTAŃCZYCH LISTÓW W WARSZAW

TROPAMI POW

1944

BYŁO TO jednego z sierpniowych dni 1944 roku, podczas powstania warszawskiego. Przemykaliśmy wówczas małą gromadką pod murami kamienic, ulicami ostrzeliwanymi przez hitlerowców. Błyskawiczne skoki, pojedynczo, pod niskimi barykadami, skrzyp szkła pod butami, co chwila poprawianie płóciennych toreb z lilijką i napisem Poczta Polowa, przewieszonych na parcianych pasach przez ramię. Jest Dorsz, Stefan, Kruk, Kuba i ja. Kuba — to bohater dzisiejszego poranka. Dźwiga najbardziej wypchaną listami torbę. Czeka go ciężka przeprawa kanałami na Mokotów.

Jesteśmy na miejscu. Na środku pustej, zawalonej gruzami jezdni, ciemna, okrągła otchłań — właz do kanału, strzeżony przez powstańca z karabinem. Krótka formalność — okazanie przepustki i...

— Kuba, sprawdź latarkę — upomina Dorsz, nasz drużynowy.

— Nie zgub szkicu, bo zabłądzisz w kanałach — dodaje Stefan.

— Wszystko gra! — trzymajcie się! — odkrzyknął wesoło Kuba schodząc zręcznie w głąb włazu. Już zniknął. Ale oto wychyla się beret z lilijką.

— Albatros, pamiętaj o naszym rejonie! — woła Kuba do mnie. — I popraw tę skrzynkę na Wspólnej...

Nim odkrzyknąłem mu „szczęśliwego powrotu!" — Kuba zniknął już w ciemnej otchłani kanału.

Od dziś będę obsługiwał również rejon pocztowy Kuby. Trzy skrzynki, kilka ulic, tysiące mieszkańców piszących listy do swoich bliskich, zagubionych pośród walczącego z faszystami, poprzegradzanego barykadami miasta.

Mijały dni, a Kuba nie wracał. Czy dotarł do oddziału Harcerskiej Poczty Polowej na Mokotowie? Jeśli tak, to co się potem z nim stało? Może spotkała go jakaś zła przygoda w kanałach, do których Niemcy wrzucali wiązki granatów, wiedząc, że kanałami właśnie, zwanymi wówczas „warszawskim metrem", kursują kurierzy, przedzierają się oddziały powstańcze. A może padł przeszyty serią kul, kiedy przebiegał jedną z ulic Mokotowa?...

1967

JEST GRUDZIEŃ 1967 ROKU. Na warszawskich ulicach pojawiły się pierwsze choinki, zwiastujące zbliżające się święta. W redakcji trwa gorączkowa praca nad feryjnymi numerami. Co chwilę dzwonią telefony. Podnoszę słuchawkę.

— Mówi Andrzej z „Drużyny" — słyszę znajomy głos — słuchaj Jurek, ty podobno byłeś podczas powstania warszawskiego w Harcerskiej Poczcie Polowej. Mam coś, co cię na pewno bardzo zainteresuje... W kilka minut później wpadł Andrzej i położył mi na biurku papierową paczuszkę.

— Znalazł to w 1945 roku na gruzach jednego z domów na Mokotowie pan Giers, pracownik naszej drukarni. Zobacz...

Odwinąłem — i na biurko wysypały się pożółkłe karty pocztowe, karteczki z notesu z kilkoma słowami i adresem, skrawki zapisanego papieru. — Ależ to są listy z czasów powstania warszawskiego! Są na nich pieczęcie naszego oddziału pocztowego — „Śródmieście Płd." Wszystkie z adresami — na Mokotów.

Każdy list ma adnotacje pisane rękami Zawiszaków z oddziału pocztowego na Mokotowie — **teren w ręku npla ● dom spalony ● nie ma dojścia ● adresat nieznany ● zwrot...**

Nim jednak warszawscy chłopcy — Janki, Franki, Staśki — zapisani w zawiszackich rejestrach pod pseudonimami — „Panter", „Wisusów", „Szczygłów" i innych, skreślili na każdym z tych listów powyższe adnotacje, czołgali się przez ostrzeliwane ulice, przeskakiwali pod niskimi barykadami, przemykali wśród płonących domów, starając się za wszelką cenę dotrzeć do adresatów. Każdy z chłopców wiedział, jak ważne niesie wiadomości: od łączniczki — dla ojca, od powstańca — do matki lub żony, od siostry — do brata...

Niejeden z harcerzy-listonoszy (może był wśród nich i nasz Kuba), padł wówczas na warszawskim bruku, przeszyty kulą wroga, nie mogąc do końca wykonać swego zadania.

Zadanie to musi być wykonane dziś!

W AKCJI

OD CHWILI otrzymania tej niezwykłej paczuszki listów zdało się, że zegary przyspieszyły swój bieg, że dni pomknęły jak błyskawice. Święta tuż, tuż. Przy niejednym stole, w rodzinnych gronach, świecić będą pustkami miejsca tradycyjnie już zostawiane dla tych, którzy w tragicznych dniach okupacji i powstania warszawskiego ubyli spośród swoich bliskich. Może listy te odsłonią tajemnice ich tragedii? Może zawierają jakiś ślad ich losów?

Już nazajutrz wieść o listach dociera do wszystkich członków Komisji Historycznej Zawiszy — organizacji, która stworzyła i obsługiwała w powstańczej Warszawie Harcerską Pocztę Polową. Dzwonią telefony w wielu warszawskich mieszkaniach.

Tego dnia wieczorem odbywa się ważna narada. Uczestniczą w niej organizatorzy Zawiszy, czyli najmłodszego szczebla Szarych Szeregów, są dawni listonosze. Wówczas przed 23 laty, kilkunastoletni chłopcy, obecnie dorośli mężczyźni. Jest również mgr Bolesław Szatyński „Olgierd" — komendant Harcerskiej Służby Pomocniczej na Mokotowie, w ramach której pracowała grupa Zawiszaków, obsługujących mokotowski oddział poczty polowej.

— Narbutta, Rakowiecka, Wiśniowa, Asfaltowa — już w pierwszych dniach walki opanowane zostały przez wroga — informuje „Olgierd" — przeglądając z uwagą listy adresowane na te ulice. — Niemcy popędzili ludność do obozu. Teren był w ręku nieprzyjaciela. Zawiszacy nie mogli już tu dotrzeć z listami...

— Dolny Mokotów, w toku ciężkich walk, przechodził z rąk do rąk. Wielu mieszkańcom udało się w porę opuścić swe domy i wymknąć z miasta — dorzuca ktoś inny. — Z tych ulic Zawiszacy przynosili listy z powrotem, z adnotacjami: **zwrot, adresata nie ma...**

— Część domów, których dotyczą adresy na listach, zostało zbombardowanych lub spłonęło...

Tak oto rysuje się powoli obraz sytuacji, wyjaśniającej powody niedoręczenia wówczas listów. Choć nie mówimy o tych, którzy przedzierając się wówczas z torbami poczty polowej pod ogniem niemieckich karabinów maszynowych, padali przeszyci kulami na warszawskim bruku — **oni są wśród nas. Żyją w naszej pamięci.** I dziś właśnie, podejmując zadanie jak najszybszego odszukania — w niemal zupełnie innym pod względem topografii mieście — adresatów lub nadawców, wiemy, że wykonujemy to zadanie w imieniu naszych kolegów — Zawiszaków, Listonoszy z mokotowskiego oddziału Harcerskiej Poczty Polowej!

MELDUNEK Z OSTATNIEJ CHWILI

◆ W ciągu pierwszych trzech dni akcji, przy ofiarnej pomocy warszawskich dozorców (którzy są „chodzącymi książkami adresowymi"), posługując się telefonami, przemierzając redakcyjnym samochodem wiele warszawskich ulic — udało nam się już trafić z listami do sześciu poszukiwanych rodzin!

Wszędzie spotykaliśmy się z ogromnym zdumieniem, wzruszeniem, łzami, radością.

Dotychczasowi odbiorcy przesyłek to:

- ● matka powstańca, z harcerskiego batalionu „Zośka";
- ● siostra łączniczki jednego z powstańczych oddziałów;
- ● znana poetka i popularyzatorka zagadnień muzycznych;
- ● żona powstańca z pułku „Baszta";
- ● były działacz konspiracyjny PPS na Żoliborzu;
- ● rodzina znakomitego profesora, byłego rektora wyższej uczelni.

Przypadek zrządził, że listy tych właśnie ludzi, lub do nich adresowane, znalazły się w tej przesyłce obok siebie. Poznaliśmy wojenne losy tych ludzi. I oto dziś przedstawiamy Wam pierwszą opowieść z cyklu — **„Tropami powstańczej przesyłki".**

Profesor An. Grodek
Biblioteka W.S.H.
Rakowiecka 6

Jesteśmy zdrowi i w całości w swoim mieszkaniu — prosimy donieść o sobie przez oddawcę.
8.VIII.44.

Wilcza 57—22
(podpis nieczytelny)

List opatrzony jest okrągłą pieczęcią POCZTA HARCERSKA (z lilijką) i podłużnymi stemplami: CENZURA HARCERSKA oraz OPŁATA UISZCZONA.

POSZUKIWANIA. Są dwa adresy: nadawcy i adresata. W którą ruszyć stronę? Dawna WSH, czyli Wyższa Szkoła Handlowa, to obecnie SGPiS — Szkoła Główna Planowania i Statystyki. Może profesor tutaj wykłada? Może ma prywatny telefon? — Ale minęło już od powstania warszawskiego ponad 23 lata. Czy możliwe więc... Książka, gdzie jest książka telefoniczna...

Grodek Andrzej, Rakowiecka 6 tel. ... Jest! Jakże wolno obraca się tarcza telefonu. Słyszę kobiecy głos w słuchawce.

— Czy to mieszkanie państwa Grodków? — pytam.

— Tak, słucham... Chwila ciszy. Nie mogę przełamać własnego zaskoczenia, że tak, że oto...

— Tu mówi uczniak z Harcerskiej Poczty Polowej. Bo, proszę pani, ja mam list...

Chwytam oddech i już dalej, spokojnie i rzeczowo wyjaśniam całą sprawę.

— Ależ to niezwykłe, po tylu latach? I co za zbieg okoliczności — dziś właśnie mija ósma rocznica śmierci profesora... Tak, bardzo proszę zgłosić się. Czekam na pana...

W ten sposób trafiłem do żony profesora, pani Królikowskiej-Grodek, a potem do jego córek, które podczas powstania warszawskiego mieszkały u dziadka na Wilczej 57—22. To właśnie od nich była wiadomość do ojca, że są zdrowe, że żyją.

List nie dotarł wówczas do profesora. Był on jednym z nielicznych Polaków na całkowicie opanowanej przez hitlerowców ulicy Rakowieckiej. Tu nie mógł dotrzeć żaden łącznik z pocztą. Profesor celowo został na terenie uczelni, by ratować przed zniszczeniem cenne zbiory biblioteczne, chronić ukryty sztandar i archiwum szkoły. Jak wielkiego dokonał dzieła — przeczytajcie w opowieści pt. PROFESOR.

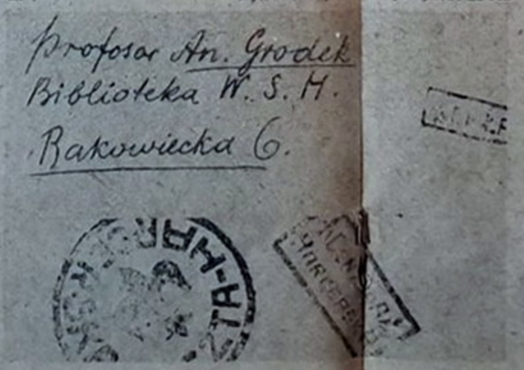

MOKOTÓW * teren w ręku npla * dom spalony * nie m

STAŃCZEJ PRZESYŁKI

Profesor

Wybuch powstania zastał profesora Grodka na terenie uczelni, w budynku biblioteki. Echo toczącej się na pobliskich ulicach walki napawa nadzieją — nareszcie będzie wolna Polska, koniec z codziennym strachem przed okupantem. Nasi walczą z bronią w ręku. A on, profesor, ma oto swój posterunek bojowy tu, wśród tysięcy książek, które trzeba obronić przed ewentualnymi skutkami walki, przed zniszczeniem. Jest z nim dyrektor Biblioteki Narodowej, dr Józef Grycz wraz z małżonką. Będą wspólnie strzec bezcennych dzieł naukowych.

Tymczasem powstańcza kanonada słabnie, przesuwając się z godziny na godzinę coraz dalej, na południowy Mokotów. Cała ulica Rakowiecka znajduje się już w rękach Niemców. Nocą w bibliotecznej sali widno jest jak w dzień. To płoną podpalone przez faszystów domy. Profesor jest niemym świadkiem tragedii okolicznej ludności. Wypędzania z mieszkań, rozłączania rodzin, rozstrzeliwania mężczyzn. Okrutny wróg sieje wokół śmierć i spustoszenie.

Pewnego dnia wpadli do gmachu biblioteki rozjuszeni SS-mani. W rękach pistolety maszynowe i sprzęt do podpalania domów.

— Raus! — wrzasnął jeden z nich, mierząc z broni do profesora. Szczęknął zamek pistoletu. Profesor spokojnym krokiem zbliża się do prześladowców. Wie, jaki los chcą zgotować bibliotece i strzegącej jej trójce ludzi. Za chwilę bezcenne zbiory książek staną w płomieniach. Za chwilę on i dwójka jego przyjaciół mogą zostać zastrzeleni. Rozgląda się błyskawicznie po regałach, na moment zatrzymując wzrok na jednym ze zbiorami książek w języku niemieckim. Wszystko to trwa sekundy. Jak intensywnie musiał pracować umysł profesora, by w tak krótkim czasie wpaść na pomysł:

— Jesteśmy tutaj, po to, by strzec zbiorów Staatsbibliothek — mówi nienaganną niemczyzną, wskazując na grube tomiska w języku niemieckim.

Dowodzący SS-manami podoficer rzucił okiem na regał z książkami. Gotyckie tytuły na grzbietach tomów, z nazwiskami niemieckich autorów — naukowców i nienaganna postawa „strażnika" tego książkowego królestwa, musiały widać przekonać podpalaczy, że tutaj nie będą mieć nic do roboty. Podoficer przeprosił nawet pana Grodka i zapytał, czy do ochrony dzieł niemieckiego piśmiennictwa niepotrzebna mu będzie jakaś pomoc. Profesor podziękował. Poszli...

Nieraz jeszcze wpadały do biblioteki podobne bandy SS-manów, kwaterujących tuż po sąsiedzku, w budynku więziennym i w byłym polskim Sztabie Generalnym. Profesor, ukrywając w bezpieczne miejsca najcenniejsze polskie książki, stawiał na ich miejsce niemieckie. I niezmiennie oświadczał SS-manom: Jestem strażnikiem Staatsbibliothek.

Nadszedł październik a wraz z nim upadek powstania. O fakcie tym profesor dowiedział się obserwując z ukrycia przemarsz Aleją Niepodległości — eskortowanego przez SS-manów — oddziału powstańczego. Szli do niewoli.

Z wyższych pięter gmachu biblioteki roztacza się przerażający obraz zniszczenia. Szkielety wypalonych domów, puste ulice, osmalone ogniem drzewa. Na ulicach ani żywego ducha. Tylko od czasu do czasu pojawiają się pod eskortą faszystów grupki mężczyzn z łopatami — kopią rowy, usuwają powstańcze barykady i gruz z jezdni, by mogły kursować pojazdy niemieckie.

Profesor ze swymi współpracownikami przygotowuje się do nadchodzącej zimy. Jak długo to potrwa? — Nie wiadomo. Gromadzą więc z opuszczonych ogródków działkowych warzywa, jarzyny, ziemniaki. Podczas jesiennych deszczów chwytają do przeróżnych naczyń wodę deszczową. W kotłowni zakładają hodowlę królików. Do zimnej sali bibliotecznej, służącej jednocześnie za mieszkanie, wstawiają piecyk z rurą wypuszczoną za okno.

Pod koniec października wpada na dziedziniec biblioteki konny patrol żandarmów. Okazało się, że tę dzielną trójkę warszawskich robinsonów zdradził... dym z rury od piecyka. Nie pomagają tym razem żadne wyjaśnienia, nie skutkują zaświadczenia, że ci ludzie to „opiekunowie dobra państwowego Rzeszy Niemieckiej".

W drodze do obozu w Pruszkowie profesor ucieka z konwojowanej przez Niemców grupy. Wkrótce nawiązuje kontakty z Radą Główną Opiekuńczą,*) która organizuje ekipy do ratowania dóbr kulturalnych z palonej systematycznie przez faszystów Warszawy. Niemcy, kontrolując działalność tej organizacji, zezwolili na codzienne przyjazdy ekip do miasta. Profesor jest w jednej z nich. Pierwsze kroki kieruje oczywiście na Rakowiecką. Właśnie płonął budynek frontowy uczelni, w którym mieściły się archiwa. Biblioteka jeszcze stoi.

Ekipa profesora przystępuje do ratowania zbiorów. Niemcy nie godzą się jednak, żeby wywieźć je na teren tzw. Generalnej Guberni (tereny polskie nie przyłączone do Rzeszy, ale będące pod administracją niemiecką). Żądają wysłania cennych polskich książek do nieznanych miejscowości w Niemczech.

Profesor nie chce za wszelką cenę dopuścić do tego. Jedzie do Częstochowy, załatwia kryjówkę w klasztorze na Jasnej Górze. Jak jednak przewieźć tam całą bibliotekę? A więc chociaż 10—15 tysięcy najwartościowszych tomów...

Po powrocie do Warszawy zabiera się do pakowania książek. Robota ciężka, w magazynach zimno. Worki znosi się na dół, skąd łatwo będzie je załadować na samochody. Już wszystko gotowe. Tymczasem 15 stycznia Niemcy nie wpuszczają ekip RGO do Warszawy. Rozpoczęła się właśnie radziecka ofensywa.

W dwa dni później, 17 stycznia 1945 r., profesor Andrzej Grodek przybywa na radzieckim czołgu do wyzwolonej Warszawy.

Bezcenny zbiór Biblioteki WSH został uratowany. W miesiąc później profesor otwiera jej podwoje dla pierwszych czytelników, a w marcu, wspólnie z gronem współpracowników, uruchamia pierwszą w wyzwolonej Warszawie uczelnię — Szkołę Główną Handlową.

Profesor Andrzej Grodek do ostatnich chwil swego życia był nierozerwalnie związany z uczelnią, kierując katedrą historii gospodarczej oraz piastując stanowisko rektora. Za swą piękną, pełną poświęcenia pracę odznaczony został przez Radę Państwa PRL Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski i innymi wysokimi odznaczeniami.

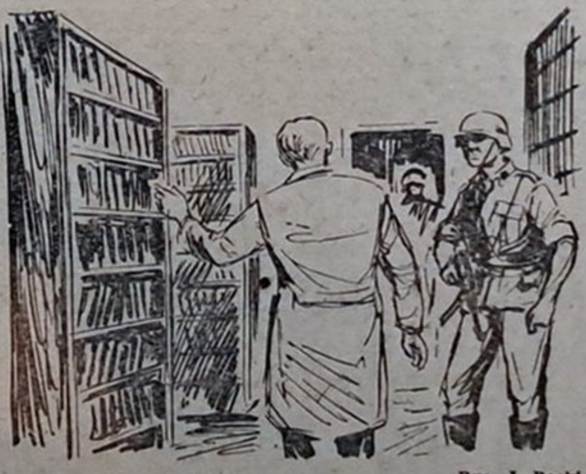

Rys. J. Rocki

*

„Jesteśmy zdrowi i w całości w swoim mieszkaniu — prosimy donieść o sobie przez oddawcę".

Pożółkła kartka z tymi słowami, opieczętowana stemplem Harcerskiej Poczty Polowej, drży w ręku pani Zofii Grodek, córki wybitnego uczonego, autora kilkudziesięciu prac naukowych i zasłużonego pedagoga. Kiedy pisane te słowa, w dniach walki o wolność i tragicznej pożogi miasta, Zofia Grodek miała dwa lata. Dziś jest pracownikiem naukowym Szkoły Głównej Planowania i Statystyki, w katedrze, której do końca swego pięknego życia był kierownikiem jej ojciec.

— List ten będzie jedną z najcenniejszych pamiątek po moim ojcu. I zawsze mi będzie przywoływał jego postać z dni, których nie mogę pamiętać, a które tak mocno związały go z uczelnią...

JERZY KASPRZAK

*) RGO instytucja pomocy ofiarom wojny, utworzona w 1940 roku, działająca w części okupowanej Polski, na terenie tzw. Generalnej Guberni. Jej społeczna działalność była bardzo ograniczona i kontrolowana przez Niemców.

NIECH ŻYJE DRUH Sylwester!

Napisał: WIESŁAW HUDON

Ilustrował: MIECZYSŁAW TEODORCZYK

SYPAŁ ŚNIEG. Wielkie płatki lądowały jak lawina spadochronów. Przyklejały się do twarzy, wpadały za kołnierz, siadały na rzęsach i czapkach zamieniając ludzi, żyjących w środkowoeuropejskim klimacie, w nieustraszonych polarników. Sobieszów, pokryty szczelnie metrową warstwą śniegu, był owego wieczoru wyludniony. W oknach domów rozżarzonych kolorowym światłem można było podglądać ludzi przygotowujących się na spotkanie z Nowym Rokiem. W schroniskach rozpoczęły się już noworoczne bale. Dźwięki saksofonów i elektrycznych gitar przeciskały się na ulicę i zawzięcie drążyły mroźne powietrze. Od strony szkoły słychać było śpiewy: „Nowy Rok, Nowy Rok, wnet odezwą się zegary". Gromady śpiewających staczały się ze wzgórz i spieszyły tam, gdzie śpiewano. Zza zakrętu wyszła ogromna kawalkada przedziwnie przebranego bractwa i również hałaśliwie podążała w stronę szkoły.

Całą drogę jeleniogórskiego skrzyżowania, aż do mostu przy szkole, okupowali już przebierańcy. Słodkowodne nimfy ubrane na niebiesko, przeróżnego gatunku królewny Śnieżki oraz zwyczajne czarownice. Mnóstwo też było, tak zwanych przebierańców „beztematycznych", którzy, albo nie mieli materiałów do przebierania, albo nie cierpieli na nadmiar fantazji. Ich też przyjmowali, w myśl humanitarnej zasady: „Przebieraniec, nieprzebieraniec byleby był wesoły". A na brak humoru towarzystwo nie narzekało.

Na czele pochodu, tuż za zbrojnym w ogromną laskę z dzwoneczkami wodzirejem, szła cudacka kapela, wzmocniona dźwiękami akordeonów i gitar harcerzy z innych zimowisk. Rozpięty przez całą szerokość drogi transparent z napisem: „Niech żyje druh Sylwester", rozweselał przechodniów, którzy często dołączali się z ciekawości do pochodu. Po obu stronach kapeli maszerowało Towarzystwo Oświetleniowe zaopatrzone w pochodnie, świeczki i kolorowe lampiony. Za cudacką kapelą maszerował Herkules z wypchanymi bicepsami i pięknie wciętą talią oraz strasznych rozmiarów klatką piersiową. Herkules, można powiedzieć, trzymał w rękach cały pochód, ponieważ w jego krzepkich dłoniach spoczywa koniec długiej na 200 metrów liny, do której przyklejeni byli wszyscy przebierańcy. Gigantycznych rozmiarów wąż zaopatrzony był na całej swojej długości w dużą ilość kolorowych świateł, co dodawało mu piękności, a Herkulesowi sławy. Zresztą na końcu węża szedł Herkules-sobowtór z pięknie wciętą talią i strasznych rozmiarów klatką piersiową. Osobnik ten trzymał w dłoni drugi koniec liny oddalony od pierwszego, jak już powiedziałem, o dobre 200 metrów.

Kilometr, albo dwa za Sobieszowem ,pochód skręcił w lewo. Kilkaset metrów w górze, na samym skraju lasu, płonęła wysoka choinka. Kolorowe światła, sztuczne ognie widoczne były nawet z tak dużej odległości. Wodzirej potrząsnął laską i zarządził przerwanie śpiewu, żeby nie przestraszyć Nowego Roku. Wolno, trzymając się liny, przebierańcy zbliżali się do choinki. Do północy brakowało jeszcze trzech godzin, ale szef Sztabu Imprezy Noworocznej zapewniał, że osobiście kontaktował się przez telefon ze Starym Rokiem, który obiecał ponoć, że wpadnie na chwilę właśnie koło godziny dziewiątej, zabierając ze sobą na plecy syna. Na skraju lasu, kilometr, albo dwa za Sobieszowem, było właśnie miejsce, które wyznaczył na spotkanie Stary Rok.

Czekano na niego w milczeniu. Nagle od strony lasu, na tle ciemnych drzew, pojawił się zaprząg. Na przedzie szedł wolno zgarbiony starzec. Na nogach miał narty.

Ciąg dalszy na str. 11

Z przygodą na TY

tele-wieści

W PIERWSZYCH DNIACH STYCZNIA wejdzie na ekrany telewizorów nowy, arcywesoły film seryjny pt. „Z PRZYGODĄ NA TY". Jest to odcinkowa opowieść o chłopakach z jednego podwórka, którzy, oczywiście jak na chłopaków przystało, mają w swym życiu różne przygody i perypetie. A że koleżkowie nie są w ciemię bici, z każdej opresji wychodzą obronną ręką, choć niejednokrotnie wydaje się, że... tym razem to już się im nie uda.

Film składa się z sześciu odcinków. Każdy odcinek ma inny tytuł i inną przygodę.

A oto poszczególne przygody bandy urwisów. Oczywiście podaję wam je w ogromnym skrócie i bez pointy, bo inaczej film przestałby was ciekawić.

„NAUCZKA"

Jeden z kolesiów został w domu sam, bo rodzice wyjechali na cały dzień do miasta. Koleś ma samodzielnie poprowadzić dom, zająć się obiadem i takimi różnymi innymi rzeczami z dziedziny zajęć domowych, o których na co dzień normalny chłopak nie ma pojęcia. Na filmie zobaczycie, jak się biedny mały mężczyzna męczy z tymi wszystkimi sprawami, i jak życzliwi kumple z podwórka w pocie czoła mu pomagają, no i... co z tego wynikło.

„BIWAK"

To harcerska wycieczka naszych chłopców. Ale nie taka zwyczajna wycieczka, lecz „z pomysłem". Otóż bohaterowie „Biwaku" wymyślili sobie, że... cały dzień spędzą w odosobnieniu jak rozbitkowie na bezludnej wyspie i żywić się będą tylko tym, co sami upolują. Wyobraźcie sobie, co może być dalej.

„MONETY"

Na targu w miasteczku chłopcy odkryli na szyi stojącego samotnie konia — a należącego zapewne do jakiegoś wieśniaka — stare, arabskie monety. Zaintrygowani odkryciem, już jako „detektywi", udali się w poszukiwanie zarówno owego właściciela konia, jak i domniemanego skarbu. Czy znaleźli wieśniaka? I skąd on miał te arabskie pieniądze?...

„WYPRAWA ODWAŻNYCH"

O tej przygodzie nie trzeba się dużo rozpisywać. Powiem krótko. Chłopcy postanowili spędzić noc w wiatraku, gdzie podobno „straszy". Kto straszy i kogo? A bo ja wiem? Obawiam się, że nasi bohaterowie też się o tym nie dowiedzieli.

„W POTRZASKU"

Źle, gdy ktoś jest kłusownikiem, źle, gdy zakłada sidła i potrzaski. Ale już chyba najgorzej, gdy ktoś, zamiast zwierzęcia, sam wpadnie w taki potrzask. Właśnie jednemu z kolesiów przytrafiła się taka niefortunna przygoda podczas wyprawy do lasu. Pułapka mogła być np. na zające, ale mogła być także... pułapką na szpiega lub bandytę!!!

„POTWÓR Z CZARNEGO JEZIORA"

To ostatnia przygoda z serii przygód chłopaków. Tym razem wyprawili się oni na wyspę, gdzie rzekomo krył się straszny potwór. Oj, co to było z tym potworem! Ciarki przechodziły urwisom po plecach. Nie taki jednak potwór straszny, jak go malują...

JAK JUŻ PODAWAŁAM NA WSTĘPIE, prawdopodobnie w okresie ferii świątecznych seria „Z przygodą na ty" będzie cieszyć wasze oko. W filmie zobaczycie doborowych i ulubionych aktorów z Aleksandrem Foglem i Ludwikiem Benoit na czele. W roli sympatycznych kolesiów-urwipołciów podziwiać będziecie waszych rówieśników: Józka Frątczaka, Piotra Wawszkiewicza, Mariusza Czaplickiego i znanego wam już „Piegusa", czyli Grzesia Romana.

Film wg scenariusza Zbigniewa Nienackiego, reżyserowali: Jadwiga Kędzierzawska (odcinki II, III i IV) oraz Wadim Berezowski (odcinek I, V i VI). Natomiast zdjęcia do filmu robiło wielu operatorów. Czy fotosy są udane, możecie właśnie sprawdzić.

ALICJA WIELGOŁAWSKA

Ciąg dalszy ze strony 10

NIECH ŻYJE DRUH SYLWESTER!

Ciągnął za sobą na sznurku sanki, na których siedział zawinięty młody człowieczek. Zbliżali się wolno. Szef Sztabu Imprezy Noworocznej podskoczył w ich stronę, porozmawiał chwilę z dziadkiem i wziął od niego sanki. Wkrótce znaleźli się pod choinką.

— Nie jest to dla mnie najprzyjemniejszy dzień w życiu — rozpoczął Stary Rok. — Nie dość, że w ciągu tych 365 dni z malca zrobił się dziadek, to jeszcze dziś właśnie muszę was i wszystkich na ziemi zostawić. Przywiozłem już swego następcę, nie bardzo jeszcze mówi, dopiero ma trzy pierwsze mleczne ząbki, ale wkrótce wydorośleje. Chciałbym, żeby jego rządy były lepsze od moich.

Staruszek roztkliwił się. Usadzono go na sankach, poczęstowano gorącą herbatą z manierki i dziadkowi szybko wrócił humor. Nawet poprosił, żeby — jak się wyraził — „młodzi ludzie coś zaśpiewali". Przy choince zawrzało. Poszły w ruch gitary i akordeony. Dziadek pozwolił nawet zatańczyć. Skwapliwie skorzystano z tego zezwolenia, bo młodym ludziom — szczerze mówiąc — nogi przymarzły już do ziemi. Po kilku minutach Stary Rok przerwał taniec i zamachał laską.

— Teraz przemówi do was Nowy Rok!

Nowy Rok postawiono na tronie ze śniegu. Chłopak wyglądał dziarsko. Ubrany był w narciarski skafander i białe ciepłe rajstopy. Policzki mu poróżowiały z radości i z zimna. Czapka z wielkim czerwonym pomponem spadła mu nisko na czoło, a przez pierś biegła biała, szeroka szarfa z napisem: „1964".

— Dziadek się wygłupił — rozpoczął swoje przemówienie Nowy Rok — mam już wszystkie zęby i mówię, jak widzicie, nie najgorzej. Przyjęcie, jakie mi zgotowaliście, jest wspaniałe. Czuję się przy was jeszcze młodszy, niż jestem w rzeczywistości. Nie wiedziałem, że na moją cześć mieszkańcy Ziemi zapalają choinki. Bardzo mi się to podoba. Bawcie się i nie przeszkadzajcie sobie. Ja popatrzę. Zaraz będę musiał opuścić was, bo za niecałe trzy godziny muszę oficjalnie zstąpić na Ziemię. Potem jeszcze was odwiedzę na balu!

Znów rozpoczęto tańce i śpiewy. Instytut Pirotechniki Noworocznej odpalił kilkanaście niedużych rakiet, które startowały z choinki. Potem na cześć noworocznego chłopaka wrzucono do ogniska jakieś proszki, które zmieniały co kilka sekund barwę płomienia. Wreszcie zabrano się do prezentów. Najpierw wodzirej otwierał prezenty przeznaczone dla dziadka i chłopca. Dziadek otrzymał fajkę wystruganą z sosny, okulary z różowymi szkłami, cygaro kubańskie. Nowy Rok — nauszniki, łuk, strzały, szczoteczkę do zębów i inne drobiazgi. Kiedy wszyscy otrzymali już prezenty, do ogniska zbliżyły się „Cudaki". Specjalnie na tę uroczystość przygotowany program najbardziej oklaskiwał Nowy Rok. Po „Cudakach" występowali harcerze z innych zimowisk.

Była godzina dziesiąta, kiedy zarządzono odwrót. Stary Rok zgodził się zejść do Sobieszowa razem ze wszystkimi, a Nowy Rok niesiono w górze na sankach, wśród okrzyków, śpiewu i tańców. Pochód szybko zszedł z góry i wydostał się na drogę. Pod każdą latarnią Nowy Rok zarządzał postój, a wodzirej kierował tańcami. Rozbłyskiwały sztuczne ognie, które dano malcowi do zabawy. Ludzie otwierali okna z ciekawości.

— Nowy Rok wjeżdża! — obwieszczał im wodzirej.

Korowód przeszedł przez całe miasteczko. Zatrzymał się przed domami: przewodniczącego Rady Narodowej, kierownika szkoły, lekarza. Chórem składano im życzenia i dziękowano za pomoc w organizowaniu zimowiska. Na każdym rogu ulicy, niewiele ich w końcu było, usadowiła się kilkuosobowa kapela, i można z czystym sumieniem powiedzieć, że tego wieczoru całe miasto tańczyło. Gdzieś koło godziny jedenastej wszystkie zimowiska żegnały się ze sobą na skrzyżowaniu i uzgadniały terminy spotkań. O wpół do dwunastej największa sala sobieszowskiej szkoły zatrzęsła się od dźwięków orkiestry „Makusynów". Rozpoczęto Wielki Bal Noworoczny.

Zasłyszane opowieści

O MAMUCIE, LAMPARCIE I YETI

J. B. KLIMA

LECIAŁEM z Aschabadu do Taszkientu. Pod nami rozciągała się bezkresna pustynia. Jedynie tam, gdzie dokopano się wody, lub doprowadzono kanał — pasły się wielkie stada owiec.

Obok mnie spał, z głową opartą o fotel, stary Tadżyk. Zbudziła go stewardessa roznosząc obiad.

— A ty dokąd? — zapytał.

Gdy powiedziałem, że jestem dziennikarzem, głośno się roześmiał.

— Niby mądrzy ludzie, a czasem straszliwie naiwni. Gotowi uwierzyć w każdą historię, byle była ciekawa.

OPOWIEŚĆ I

Dziennikarska kaczka

... **Pamiętam,** — kontynuował mój sąsiad — latałem jeszcze na „Jaku". No, co się tak dziwisz? Nie zawsze byłem pasażerem. Mój „Jak" już wtedy był starą, niemodną maszyną. Lubiłem go jednak i nigdy mnie nie zawiódł.

... To było zimą, a sroga była, jak nigdy. Na pustynię spadły śniegi. Owcom groziła śmierć głodowa. Ładowano więc do mego samolotu siano, a ja je rozrzucałem w tych miejscach, gdzie śnieg zaskoczył największe stada.

Pewnego razu, gdy szykowałem się do lotu, przyprowadzono na lotnisko młodego mężczyznę. — Dziennikarz — powiadają — Zabierz go z sobą. Chce napisać reportaż o pracy lotników.

Nie podobał mi się. Taki, jakiś zarozumiały. Lecimy chyba z godzinę, a on cały czas się mądrzy. Nie bardzo go zresztą słuchałem, bo warunki były trudne, a zabłądzić nie sztuka. Wreszcie przyleciałem na miejsce.

Zrzucam pierwszy ładunek siana, potem drugi, a on mnie pyta, po co.

— Widzisz, synku — odpowiadam — zima taka rzadko się zdarza. Skorzystały z tego mamuty i powyłaziły z pieczar. Postanowiliśmy więc je żywcem dostarczyć do ZOO. Ale te bydlaki nie chcą dać się pędzić. Więc rzucam im siano, a one idą tak za tym śladem i żrą. Myślę, że do wiosny w ten sposób doprowadzę je do celu.

— Ależ to sensacja! — zawołał dziennikarz. — I nikt o tym nie wie?

— Ano nikt. To ma być niespodzianka — odpowiadam zadowolony, że żart się udał i zastanawiam się tylko, jak teraz się wycofać, gdy ten do mnie:

— Słuchajcie! A czy ten gruchot ma radio? Muszę przekazać ważną wiadomość.

Jak usłyszałem, że on mówi o mojej maszynie gruchot, aż mną wstrząsnęło. ale nie okazuję tego po sobie.

— A ma — odpowiadam i łączę go z Aschabadem.

Przez parę lat cała Środkowa Azja śmiała się z głupca.

*

Powtarzam tę anegdotkę, bo czasem niełatwo odróżnić, gdzie kończy się prawda, a zaczyna fantazja. Te zasłyszane historie powtarzam na odpowiedzialność moich rozmówców.

OPOWIEŚĆ II

Spotkanie z lampartem

Cały dzień tłukliśmy się „gazikiem" po bezdrożach Tiań-Szanu, byłem więc szczęśliwy, kiedy gospodarze rozłożyli dywan nad górskim potokiem, zarządzając przerwę na biwak. Woda była lodowato chłodna, choć słońce paliło niemiłosiernie.

— 5 km stąd zaczyna się lodowiec — wyjaśnił Sadirow Pirnazar. — Jesteśmy jakieś 4000 m nad poziomem morza.

Z rozkoszą wciągałem rześkie powietrze. Pachniało ziołami i sianem. Z daleka pobekiwały pasące się stada owiec.

Sadirow, przed pójściem na studia, był w tych stronach czabanem.

— Przez pół roku owce pasie się na nizinach, blisko sowchozu. Dopiero w czerwcu przepędza się je w góry. A to było w lipcu, albo w sierpniu. — Sadirow popił herbaty i przez chwilę milczał. — Było nas trzech czabanów i kilkaset owiec. Od najbliższego stada, dzień jazdy na dobrym koniu. Raz w tygodniu przyjeżdżał do nas listonosz z gazetami. I to była cała więź ze światem. Roboty było dużo, na nudzenie się nie starczało już czasu.

Pewnego dnia nie mogliśmy się doliczyć dwu owiec. Następnego — trzech dalszych. Rano siadłem na konia i pojechałem ich szukać. Mogły gdzieś odbić się od stada, zabłąkać w zaroślach, czasem trafiają się wilki... Cokolwiek jednak z nimi by się nie stało, ślad jakiś musiały zostawić... Wieczorem wróciłem zniechęcony: jak kamień w wodę. W obozie dowiedziałem się, że znów brak dwu sztuk. Długo w nocy naradzaliśmy się przy ognisku, co dalej robić.

W dzień pilnowaliśmy jak nigdy, a mimo to znów jedna zginęła.

Był z nami starzec, wiekowy. Mądry i znał góry jak swoją tiubetejkę. Długo radziłem się go, co zrobić. Rano zdarliśmy skórę z dwu zamordowanych owiec. Na pastwisku owinąłem się nimi jak opończą i skryłem się między głazami porośniętymi krzakami berberysu. Słońce paliło niemiłosiernie, mrówki gryzły, całe ciało ścierpło. Ale zawziąłem się. Było już pod wieczór, kiedy zobaczyłem, że owce jakoś dziwnie się zachowują: pobekiwały żałośnie, zaczęły się zbijać w gromadkę. Ścisnąłem karabinek, i czekam. Nagle! Nade mną przeskoczył wielki zwierzak. Jeszcze dwa, trzy susy i już był w samym środku stada.

Zmierzyłem się i strzeliłem. Potem drugi raz i trzeci.

Kiedy przybiegłem na miejsce, zobaczyłem przepięknego, olbrzymiego barsa — lamparta azjatyckiego. To rzadka i bardzo drogocenna sztuka. Za żywego, maharadże indyjscy dają dwa, trzy słonie. Dlatego jest wielu myśliwych, którzy całe życie poświęcają łowieniu barsów.

Ten też musiał już mieć do czynienia z takim łowcą. Świadczył o tym strzęp sznura, który zwisał mu z potężnej szyi.

Sadirow znów popił łyk herbaty.

— Dlatego chyba — kończył — bestia była taka sprytna i tak długo udawało jej się uniknąć naszych pułapek.

OPOWIEŚĆ III

Na tropie „Śnieżnego Człowieka"

Od czasu do czasu cały świat obiega sensacyjna wiadomość o spotkaniu z yeti, czyli Śnieżnym Człowiekiem. Mówi się, że jest cały porośnięty długim włosem, że jest olbrzymi i łagodny. Są tacy, którzy rzekomo widzieli jego ślady na śniegu, są inni, którzy twierdzą, że z nim się spotkali. Ale żadnych dowodów na to nie mają. Organizowano nawet różne naukowe ekspedycje. Te jednak zawsze kończyły się niepowodzeniem.

Wiele rzekomych spotkań ze Śnieżnym Człowiekiem miało miejsce na Pamirze, w najwyższych górach świata.

Nic więc dziwnego, że kiedy znalazłem się na drodze do Chorogu, miasta zbudowanego tak wysoko, że zdaje się wisieć między niebem a ziemią, bez przerwy się rozglądałem, czy nie spotkam śladów tajemniczego yeti. Ależ to by była dziennikarska sensacja!...

Brnąłem więc po wiecznym śniegu wzdłuż rzeki Gunt, dopytywałem się niecierpliwie spotykanych Tadżyków. Żaden z nich nie widział yeti, ale powtarzali różne zasłyszane od starców historie, jak to np. podczas budowy drogi wiodącej od Osz do Chorogu, robotnikom stale wywracało jurty jakieś olbrzymie zwierzę, a gdy ci zdenerwowani urządzili zasadzkę, zobaczyli bladym świtem uciekającą postać olbrzymiego człowieka całego porośniętego kudłami. Cóż, kiedy zaraz spadł olbrzymi śnieg i zasypał ślady, zanim się zupełnie rozwidniło.

Wreszcie, wysoko, wysoko w górach dotarłem do jurty, zamieszkałej przez Muchadara Marchowicza. Ten starzec nigdy na krok nie opuszczał Pamiru, więc kto jak kto, ale on musiał coś wiedzieć o yeti.

rys. J. Rocki

(Dokończenie w następnym numerze)

WAŻNE SPRAWY CHŁOPCÓW I DZIEWCZĄT

Najgłupsza zabawa „rycerzy"

WIADOMO KAŻDEMU, że zima jest piękną porą roku. Jej uroki urzekają każdego. A oto, jak chłopcy wykorzystują zimę. Przytaczam fakt, który zdarzył się u nas. Zaraz po przyjściu do szkoły koledzy zaczęli nosić do klasy śnieg. Wrzucali za kołnierze (czego nie znoszę), wrzucali garściami śnieg do butów, ba, szorowali brudnym śniegiem dziewczynkom twarze.

Nauczyciele nieraz ich upominali, lecz, co im tam nauczyciel! Po lekcjach znów rozpoczęło się. My, dziewczynki, po prostu boimy się. Chłopcom zaś „w to graj"! Boimy się, gdy napadają na nas całą gromadą i atakują. Ileż to zniszczonych ubrań! Jakże trudno oczyścić z brudnego śniegu plamy na płaszczach. Nie mówiąc już o tym, że mocno ubite kule śniegowe grożą kalectwem. A wszystko to robią niby po to, by zdobyć nasze serca i uznanie. (rj)

ELŻBIETA

Bądźmy kulturalni

● Chodzę do klasy ósmej i większość koleżanek nosi już pończochy „przezroczyste". Pozostała część też chodzi w pończochach, ale elastycznych. Jest jednak w klasie jedna uczennica, która co dzień przychodzi w „niciakach" (tak nazywają koledzy zwyczajne pończochy). Chłopcy śmieją się z niej, dokuczają jej na każdym kroku, więc prawie nie wychodzi w czasie pauzy na korytarz.

Kilka dni temu Jola przyszła w jedynych swoich, nowo zakupionych elastycznych pończochach, ale jakże jej było przykro! Kiedy szła po schodach, chłopcy, przechodzący obok, stawali, przecierali rękami oczy i wołali: „Ja chyba śnię, ale nogi!" Jola rozpłakała się i uciekła do klasy. Wytłumaczyłyśmy kolegom, że popełniają duży nietakt, byłyśmy oburzone — na próżno!

Chłopcy! Czy dla was są ważne tylko dziewczęta ładnie i modnie ubrane? Przecież niektóre skromnie ubrane są o wiele bardziej wartościowe. Pomyślcie nad tym i nie róbcie koleżankom przykrości! (rj)

RENA ZNAD WISŁY

Dziewczęta, to o Was

● Jest u nas w klasie kilka dziewcząt, które odpowiadałyby ideałowi chłopców. Ładne, zgrabne, inteligentne, modnie ubrane. Cóż jednak, kiedy nie można w żadnej z nich znaleźć prawdziwego przyjaciela. Wciąż opowiadają naokoło o swoich „sukcesach", np. jakiego to chłopaka „poderwały" itp. Przy tym nas, swoich rówieśników, traktują jak smarkaczy. Dla nich istnieją tylko chłopcy z klas starszych. My jesteśmy dziećmi, z którymi nie ma po co się zadawać.

Dziewczęta takie myślą, że w ten sposób nam zaimponują, tymczasem ja i wielu moich kolegów patrzymy na nie z politowaniem.

Bardzo zaniepokoił mnie fakt, że nasza klasa nie jest odosobniona. Wszędzie istnieje podobna sytuacja. Osobiście nie mam nic przeciwko dziewczętom. Są w naszym gronie i takie, z którymi można się naprawdę zaprzyjaźnić. Dobrze byłoby jednak, gdyby i inne koleżanki wzięły z nich przykład i radykalnie zmieniły swoje zachowanie.

Wydrukujcie ten list, może te dziewczęta przeczytają. Wiem, że mimo swej „powagi" czytają „Świat Młodych", z którego można dowiedzieć się wielu ciekawych rzeczy. Może więc przeczytają to i zrozumieją, że ich postępowanie jest błędne. (rj)

„PETRONIUSZ"

Nie dajcie się nabrać na ładne oczy

PRZECZYTAŁAM rozpaczliwy list Ernesta o tym, jak zawiódł się na koleżankach. Za pośrednictwem Klubu chciałabym go pocieszyć. Nie wszystkie dziewczęta są takie. Ja na przykład także szukam chłopca-przyjaciela. Nie chcę mieć sympatii. Chcę mieć kogoś, komu mogłabym powierzyć swoje tajemnice i sekrety. Wśród dziewcząt nie znalazłam kogoś takiego. Wszystkie „niby-przyjaciółki" nie umiały „trzymać języka za zębami". Może chłopcy bardziej potrafią dochować tajemnicy? Jednym słowem chciałabym spotkać takiego kolegę.

Mam jeszcze jedną sprawę w związku z listem Andrzeja z tej samej rubryki „Chłopcy i dziewczęta". Jego spostrzeżenia, moim zdaniem, są bardzo trafne. Ja nie cenię wcale chłopców przystojnych, ale inteligentnych, mądrych. Poznaję ich po tym, że są to chłopcy, którzy mają dużo wiadomości z różnych dziedzin nauki. O wszystkim można z nimi rozmawiać, nie interesują się tylko dziewczętami ładnymi i zgrabnymi, ale szukają dziewcząt rozsądnych, myślących. Dlatego ostrzegam inne dziewczęta mojego pokroju. Nie dajcie się nabrać na ładne oczy! (rj)

ZOSIA z Warszawy

Rzucam chłopcom wyzwanie

LIST MÓJ jest jakby wyzwaniem rzuconym chłopcom, a właściwie niektórym z nich. Na przykładzie własnej klasy doszłam do wniosku, że dyskrecja i poczucie honoru przedstawicieli płci męskiej (w wieku 13—14 lat) nie są warte przysłowiowego „funta kłaków". Nie mówiąc już o podsłuchiwaniu przez nich rozmów, prowadzonych w gronie koleżanek w czasie przerw lekcyjnych (gdyż to jest u nich nałogowe), ale o rzeczach bardziej drastycznych, rzucających się w oczy i graniczących z bezczelnością.

Widuje się na przykład takiego młodzieńca zaczytanego w cudzym (najczęściej należącym do którejś z dziewcząt) liście. Nawet jakaś zapisana kartka papieru, leżąca pod pulpitem ławki, działa na chłopców pociągająco.

Czym tłumaczyć tę śmieszną, naiwną ciekawość. Może chęcią wykpienia potem naszych prywatnych zapisków, tajemnic? Nie wiem.

Chłopcy często wyszydzają tak zwane „babskie plotkarstwo", ale sami dobrze wiedzą, że i oni nie są pod tym względem tak idealnie w porządku. I oni przecież trudnią się, jeśli nie plotkami, to wyśmiewaniem się z tego, czego się o nas „niechcący" dowiadują (często są to rzeczy wcale, a wcale niezabawne). Więc dlaczego prawie zawsze plotki oraz wiele innych, nie bardzo chwalebnych uczynków przypisuje się nam, dziewczętom? Dlaczego pod tym względem chłopcy mają się za lepszych od nas, skoro w rzeczywistości wcale tak nie jest? (rj)

„BEATA"

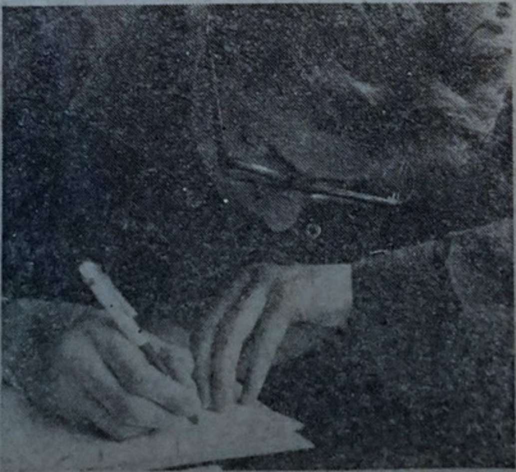

Foto K. Czapiński

W pogoni za chłopcami

JESTEM stałym czytelnikiem „Świata Młodych". W Klubie Nastolatków czytam wszystkie listy. Czytałem o chłopcach palących papierosy i zaczepiających dziewczęta. Ale nigdy nie było jeszcze o dziewczynach, które zaczepiają chłopców.

Idę raz z kolegą przez park i widzę, jak dziewczęta siedzą sobie na ławce i palą papierosy. Dziewczęta uśmiechają się, my śmiejemy się z nich. Przechodzimy obok ławki. Dziewczyny śmieją się głośno i wołają: „Ty, kawaler!" Kolega odwraca się, ale ja ciągnę go za rękaw, idziemy dalej. Na drugi dzień widzimy, jak te same dziewczęta (może miały trzynaście — piętnaście lat) stoją w parku z mężczyznami i znów oglądają się za nami. Żegnają się z tamtymi i idą za nami i zaczepiają nas — chłopców.

My do tramwaju, one za nami, my do autobusu, one za nami. Co dalej się działo, lepiej nie pisać, ponieważ zajęłoby to jeszcze wiele miejsca. Powiem tylko, że zmusiły nas do ucieczki. Później poszliśmy do domu i, na szczęście, zgubiliśmy intruzki. Co sądzili ludzie, którzy widzieli, jak natarczywie zachowują się dziewczęta?

Nie wiem, ale mam własne zdanie o nich, zaręczam, że złe.

PIOTR M. z Gliwic

HODOWLA CYRKOWYCH KONI

● W Państwowej Stadninie Koni w Michałowie założona została hodowla tarantów — koni białych z czarnymi lub brązowymi łatami. Konie tej maści występują przeważnie w cyrkach. Taranty z Michałowa mają domieszkę krwi koni arabskich i angielskich, odznaczają się wytrzymałością w pracy i niezłym wzrostem.

UWAGA, OSMIORNICA!

● Marynarze i rybacy opowiadają o nich historie mrożące krew w żyłach. Większość tych opowieści jest oczywiście zmyślona, chociaż — trzeba to przyznać, zdarzały się wypadki, kiedy zwierzęta te potrafiły zaatakować człowieka.

Mowa jest o ośmiornicach, wielkich głowonogach. Jak sama nazwa wskazuje, zwierzęta te, mają aż osiem ramion. Długość ich dochodzi niekiedy do 10 m! Na ramionach ośmiornicy znajdują się dwa rzędy przyssawek. Tymi przyssawkami zwierzę przypina się do swej ofiary tak mocno, że chcąc się uwolnić, trzeba odciąć całe ramię potwora.

Ośmiornica posiada niezwykły organ obronny w postaci gruczołu atramentowego. Jeśli zostanie zaatakowana przez silniejsze od siebie zwierzę np. przez rekina lub kaszalota, wyrzuca z siebie czarną ciecz, która rozprzestrzeniając się w wodzie, tworzy rodzaj dymnej zasłony, umożliwiając jej ucieczkę. (j.k.)

ROZMOWY KRABOW

● Powiedzenie „milczy jak ryba" jest już przestarzałe. Uczeni podsłuchali i utrwalili na taśmie magnetofonowej głosy setek ryb. Został odkryty cały system sygnalizacji dźwiękowej u delfinów, ale nie tylko delfiny mają swoją „mowę". Wyprawa naukowa na radzieckim statku „Bajdar" badała biologiczne szumy morza na obszarach, gdzie masowo gromadzą się kamczackie kraby. Po raz pierwszy w praktyce badań podmorskich zapisano sygnały dźwiękowe, wydawane przez stada skorupiaków w różnych okresach ich życia.

ILE SIĘ UCZĄ

● Naukowcy w krajach zachodnich ułożyli ciekawą tabelkę pilności uczniów. Stwierdzono, że najwięcej czasu nad swymi zadaniami domowymi spędzają młodzi Francuzi — 508 godzin rocznie. Na drugim miejscu znajdują się uczniowie z NRF — 311 godzin, dalej Amerykanie — 212 godzin. Na ostatnim miejscu są dzieci z Wielkiej Brytanii — tylko 150 godzin rocznie. Trudno powiedzieć, czy to wynik ich lenistwa, czy też nieprzeciętnych zdolności.

Ciekawe, jak wypadłoby takie obliczenie u nas?

MŁODZI MIŁOŚNICY PIOSENEK!

Uwaga, cenna premia!

MAGNETOFON „TONETTE"

i nagrody pocieszenia zostaną rozlosowane wśród czytelników, którzy do dnia 10.I. 1968 r. zamówią w Wydawnictwie Harcerskim (Warszawa, ul. Konopnickiej 6) śpiewnik harcerski

„ŚPIEWAJ Z NAMI"

Śpiewnik zawiera ponad 150 piosenek (z nutami) na wszystkie okazje szkolnego i harcerskiego życia. Opr. plastikowa, cena zł 35,—

Odciąć **Wypełnić** **Przesłać**

Ilość egz. .... Śpiewaj z nami .... cena zł 35,—

Zamawiam i proszę o przesłanie śpiewnika za zaliczeniem pocztowym. Przesyłkę zobowiązuję się wykupić natychmiast po jej nadejściu.

DRUK

Znaczek pocztowy 10 gr

(nazwisko i imię)

(poczta, powiat)

miejscowość, ulica, numer domu)

data

podpis zamawiającego

WYDAWNICTWO HARCERSKIE WARSZAWA ul. Konopnickiej 6

Opr. A. GRZYBOWIECKA. Rys. M. KOŚCIELNIAK

Po stromym i kamienistym zboczu wspina się koń. Pochylony nad łękiem siodła jeździec zwalnia cugle, bo zwierzę wspina się jeszcze wyżej. Z wysiłkiem pokonuje stromiznę; wreszcie wydostaje się na skalisty płaskowyż i zwiększa szybkość. Po chwili kopyta uderzają, jak toczący się wśród Skalistych Gór grzmot, grzywa płynie na wietrze.

Człowiek, dosiadający pięknego konia, dostrzega nagle ukrytą wśród skał sylwetkę Indianina. Uważnie rozgląda się wokoło; czerwonoskórych wojowników jest więcej! Wszystko wskazuje na to, że Indianie nie mają pokojowych zamiarów... Jedyną szansą samotnego jeźdźca jest jego wspaniały, szybszy niż indiańskie mustangi, koń. Mógłby zawrócić, uciec. Taka myśl nie przychodzi jednak jeźdźcom do głowy. Nie chce walki, ale i nie może się cofnąć, lub wyminąć zastępujących mu drogę. Sprawdza więc działanie Colta i pełnym pędem wjeżdża w sam środek Indian! Strzały padają z obu stron, ale koń i jeździec szczęśliwie mkną dalej.

Dwanaście strzał

W 40 MINUT PÓŹNIEJ przed pojazdem amerykańskiego przedsiębiorstwa konnej rozstawnej poczty, zw. Pony Express, zatętniły końskie kopyta, dozorca wybiegł z budynku. Jeździec wyciągnął w jego kierunku torbę z listami i nieprzytomny zwalił się z siodła. Dozorca przyjrzał mu się i westchnął:

— Biedny Joe... W jego plecach tkwi tuzin strzał!

W drzwiach stajni pokazał się inny młody mężczyzna i, rzuciwszy tylko okiem na rannego kolegę, chwycił pospiesznie listy. Po chwili słychać było galop oddalającego się konia.

Między dwoma oceanami

W POŁOWIE XIX WIEKU z północy lub wschodu Stanów Zjednoczonych Ameryki Pn. szybciej można było dostać się statkiem do pocztowej, starej Europy, niż lądem na Dziki Zachód, do Kalifornii. Dwie połacie Stanów oddzielały od siebie wielkie bezdroża, przecięte łańcuchem Gór Skalistych. Na terenach tych spotkać można było Indian, którzy, broniąc swych praw do ziemi, usprawiedliwie krzywdzeni przez przybyszów zza oceanu, witali intruzów strzałami i ogniem.

Po jednej i drugiej stronie kontynentu mieszkali jednak ludzie, którym potrzebny był wzajemny kontakt, a tymczasem listy wędrowały miesiącami! Grupa śmiałków postanowiła zorganizować taką pocztę, która by z miasta St. Joseph (stan Missouri), połączonego już ze wschodem linią kolejową, dostarczała korespondencję do Kalifornii w terminie nie dłuższym niż 10 dni.

Osiodłać wiatr

SŁYSZAŁEM, że umiesz dosiadać konia? — zapytał młodego woźnicę dyliżansu pewien dżentelmen, spotkawszy go w jednym z barów San Francisco.

— Dosiadać konia? Czemu nie! — odparł tamten. — Ale interesuje mnie tylko taki koń, który pozwoli osiodłać się dopiero sześciu mężczyznom! — dorzucił z zaczepką w głosie.

EXPRESS

— Właśnie takich ludzi nam trzeba i takich koni — odpowiedział dżentelmen.

— Będę dumny, mogąc pracować dla was! — rzekł młodzieniec.

Takie były początki legendy konnej poczty, zwanej Pony Express. (Pony w tym wypadku oznacza silnego, pół dzikiego konia, a nie kucyka). Zaangażowano najlepszych i najbardziej odważnych jeźdźców i strzelców, a ponieważ poczta miała być dostarczana systemem sztafetowym, zakupiono najwspanialsze wierzchowce, jakie tylko można było w Ameryce zdobyć. Płacono też za nie horendalnie wysokie sumy: 150 do 200 dolarów, podczas gdy zwykły koń kosztował w tym czasie tylko 50 dolarów!

Na szlaku liczącym 3.200 km zorganizowano liczne punkty wymiany koni. Organizatorzy Pony Expressu byli najlepszej myśli — wierzyli, że pobiją rekord szybkości. W akcję tę ulokowali 100 tys. dolarów, bo oficjalna poczta amerykańska nie chciała na razie zawrzeć z nimi umowy, nie wierząc w zwycięstwo.

Panie i panowie!

3 KWIETNIA 1860 roku na stacji kolejowej St. Joseph grała orkiestra, a podekscytowani mieszkańcy miasta rozmawiali o bohaterze dnia — Billu Richardsonie — pierwszym kurierze konnej poczty. Właśnie przed chwilą Bill wymienił swój masywny złoty zegarek na inny, mały i lekki, ażeby niepotrzebnie nie obciążać konia, od którego tyle zależało! Bill ubrany był w niebieskie spodnie, czerwoną flanelową koszulę i skórzaną kurtkę. Niecierpliwie czekał na spóźniający się pociąg wiozący ze wschodu pocztę.

— W dziesięć dni z St. Joseph do Sacramento? To niemożliwe! — powątpiewali zebrani na dworcu obywatele miasta, a niektórzy, pewni niepowodzenia konnej poczty, robili poważne zakłady pieniężne.

— W Górach Skalistych leży jeszcze śnieg — ostrzegali Billa.

Kiedy staroświecka lokomotywka zwycięsko sapiąc przyciągnęła wreszcie wagony pociągu, spóźnienie wynosiło 2 godziny! Miejscowy dostojnik, mający uświetnić przemówieniem odjazd kuriera, zdążył tylko wypowiedzieć dwa słowa:

— Ladies and Gentleman! — a już Bill, porwawszy pakiet z listami, skoczył na konia i już go nie było widać...

W niecałą godzinę przebył 30 km. W punkcie stacji Pony Express Bill dosiadł nowego wierzchowca i pogalopował dalej, nie mając nawet czasu na wytłumaczenie swojego spóźnienia. Zmieniając jeszcze 6 koni, przejechał 130 km i nadrobił półtorej godziny straty, spowodowanej opóźnieniem pociągu! Po Billu „sztafetę" przejął Bob, po nim następni.

Dwaj jeźdźcy

TYMCZASEM W KALIFORNII również odbywała się podobna uroczystość. I tu wysyłano pierwszego kuriera Pony Expressu, zdążającego z listami na wschód. Pierwszy odcinek drogi z San Francisco do Sacramento kurier przebył statkiem: — było bliżej. Ledwie statek przybił do brzegu, a kapitan zdążył wydać rozkaz uruchomienia syreny (na cześć kuriera!), ten był już na lądzie i siedział na wierzchowcu! Dalej w następnym punkcie zastąpił go niejaki Warren, którego czekał najtrudniejszy odcinek — przejście przez wąwóz w górach. Ostrzegano go, że leżący śnieg niebezpiecznie przykrywa skały, i że nawet na rakietach śnieżnych wyprawa nie byłaby łatwa, a co dopiero konno! Warren istotnie spotkał nie tylko śnieg, ale całą lawinę, która, stoczywszy się w wąwóz, zatarasowała, jak się potem okazało, przejście na kilka miesięcy.

— Niech licho bierze wąwóz... — szepnął do konia jeździec. Skierował go w inną stronę i, zdając się na instynkt wierzchowca, przejechał szczytami gór. Takiego cudu nie dokonał nikt, nawet w środku lata!

W parę dni później na skalistej płaszczyźnie spotkało się dwóch kurierów, zupełnie sobie nie znajomych ludzi, którzy, nie uścisnąwszy nawet rąk na powitanie, pospiesznie wymienili torby z pocztą i natychmiast zawrócili — jeden na wschód, drugi — z powrotem na zachód. Termin doręczenia poczty wyznaczony przez Pony Express został dotrzymany!

Buffalo-Bill i inni

JUŻ PO KILKU DNIACH działalności konnej poczty trzech jeźdźców z Pony Expressu zginęło z rąk Indian. Podobno czerwonoskórzy wierzyli, że przewożone przez kurierów listy, to talizmany, które sprawiają, że konie ich mkną jak błyskawice. Za wszelką cenę starali się więc zdobyć pakiety z listami. Chcieli mieć również takie wspaniałe konie...

Mimo licznych niebezpieczeństw, czyhających na kurierów z Pony Expressu, w ciągu 19 miesięcy działalności tego przedsiębiorstwa, tylko jeden raz poczta nie dotarła do rąk adresatów! Nie udało się odnaleźć ani jeźdźca, ani konia, ani torby z listami... Dewizą chłopców z Pony Expressu było: uratować pocztę, konia i własną skórę — tę ostatnią na końcu... A kiedy przedsiębiorstwo borykało się z kłopotami finansowymi i nie było w stanie wypłacać w terminie pensji kurierom — cierpliwie czekali na pieniądze, bo jakże mogli nie usłuchać argumentu, że jeśli oni dostaną pensję, to konie nie otrzymają owsa...

Dokonywali też cudów wytrzymałości. Jeden z nich przebył ponoć na siodle 600 km bez odpoczynku, gdyż ci, którzy mieli go zmienić, zostali ranni. Kiedy zsiadł z konia, okrutnie zmordowany, miał podobno jeszcze siłę żartować ze swoich pogruchotanych żeber.

— Jestem jednym z niewielu na świecie, bo mam aż 40 połamanych żeber! — powiedział.

Inny znów tak był zmęczony, że zaczął walczyć... z dębem, kiedy drzewo to z hukiem pękło na mrozie! Kurierowi wydawało się, że jest to wróg, który strzela do niego. Bogu ducha winny dąb został poczęstowany całą zawartością magazynku... Jednym spośród jeźdźców z Pony Expressu był ponoć sam Buffalo Bill, bohater wielu awanturniczych filmów i książek z Dzikiego Zachodu.

Ani kłopoty finansowe, ani twarda natura, ani niebezpieczeństwo spotkania z Indianami nie były w stanie zatrzymać ludzi ani koni z Pony Expressu. Zrobił to jednak prosty, niewinny drut — drut telegrafu, założony w 1861 roku.

HISTORIA PONY EXPRESSU trwała krótko — szybkie konie zwyciężył szybszy od nich telegraf, ale konna poczta obrosła w Ameryce prawdziwą legendą. Stworzono nawet muzeum poświęcone pamiątkom po chłopcach i koniach, przewożących listy po bezdrożach Ameryki w latach 1860—1861. Można tam obejrzeć siodła i torby na listy oraz inne zachowane przedmioty z okresu zdobywania tzw. Dzikiego Zachodu.

Na zdjęciu widzicie statuę kuriera z Pony Expressu, wykonaną przez artystę rzeźbiarza. Tak właśnie wyglądał — być może — Bill, kiedy galopował z St. Joseph na zachód.

Krzyżówka PZU noworoczna

Do diagramu krzyżówki wpiszcie wyrazy o podanym znaczeniu.

Litery znajdujące się w prawych dolnych kącikach poszczególnych kwadratów oznaczonych cyframi w kolejności od 1 do 51 tworzą ostateczne rozwiązanie (hasło).

Ostateczne rozwiązanie (hasło) należy wpisać na kartkę pocztową i przesłać do dnia 10 stycznia 1968 r. pod adresem redakcji: Świat Młodych, Warszawa, ul. Mokotowska 24.

Na kartce pocztowej napisz dokładny swój adres, rok urodzenia i dopisek: KRZYŻÓWKA PZU.

Za trafne rozwiązania będą rozlosowane nagrody ufundowane z funduszu prewencyjnego PZU w Warszawie.

POZIOMO: 1 — dopływ Bugu; 5 — wstrząs; 7 — stolica Grecji; 8 — rodzaj siekiery, broń obuchowa do XVII wieku; 9 — zdarzenie, czyn, określony stan rzeczy; 10 — szybkość ruchu, pęd; 11 — dopływ Wisły; 14 — tak mówią niektórzy na Janinę; 17 — wypływa z jeziora Ińsko; 19 — zaślubiny; 22 — część dachu; 25 — kręgowiec zmiennocieplny np. krokodyl, żółw, jaszczurka; 27 — bylina uprawiana jako warzywo, rośnie też na łące; 28 — dostał wujek na „Gwiazdkę"; 29 — dopływ Wisły; 30 — przodek domowego bydła; 31 — niski głos żeński; 33 — niechęć, uraza; 34 — o tej godzinie rozpoczynają się najczęściej lekcje w szkole; 35 — dramat muzyczny, którego akcja jest związana ze śpiewem i muzyką; 39 — zwierzę (świetnie pływa i nurkuje); 42 — utwór muzyczny utrzymujący rytm kroku; 44 — inaczej: żywotnik; 45 — wykonuje wyroki; 47 — miasto we Francji; 48 — ściera ołówek; 49 — miejscowość koło Zamościa, stacja kolejowa; 51 — odorany, wąski kawałek uprawnej ziemi; 52 — wyspa należąca do Indonezji; 53 — cenna, artystyczna tkanina dekoracyjna, przetykana złotymi i srebrnymi nićmi; 56 — wysoka budowla; 57 — jest prawa i lewa; 58 — końcowy punkt w biegach lub zawodach kolarskich; 59 — miara papieru; 62 — unoszący się pył, proch; 65 — zwierzę, łapie kury, mieszka w norze; 69 — chętnie tam chodzisz; 70 — ziemia nadana przez seniora; 71 — krążownik, z którego ogień dział na Pałac Zimowy był sygnałem do wybuchu Wielkiej Rewolucji Październikowej; 72 — głuchawy ton, odległy szelest; 74 — roślina doniczkowa, służy do pieczętowania listów i paczek; 77 — góry w Azji; 81 — plecionka ze słomy lub trzciny; 83 — rzeka w Jugosławii, dopływ Dunaju; 85 — sala w wyższych uczelniach; 86 — bogini mądrości, sztuki, córka Zeusa; 87 — nakrętka z żelaza; 90 — malarz, uczeń J. Matejki; 93 — mieszkanie pszczół; 94 — rodzaj balkonu, dach otoczony balustradą; 95 — miejscowość kuracyjna głównie dla dzieci; 96 — dawna jednostka wojskowa odpowiadająca kompanii; 97 — rodzaj bramy; 98 — mitologiczny młodzieniec, który uniósł się w górę na skrzydłach przyklejonych woskiem, a gdy słońce wosk stopiło, spadł do morza; 101 — ptak (wody stojące w Eurazji, Australii i pn. Afryki); 102 — drogi kamień zabarwiony czerwono; 103 — sznur z pętlą do chwytania zwierząt; 104 — część nogi; 105 — kraj w Afryce, rzeka; 106 — stolica Tunezji; 107 — rzeka, granica pokoju; 108 — duży żelazny garnek; 109 — kadłub rozbitego okrętu.

PIONOWO: 1 — wpisujesz do niego adresy; 2 — waluta Indonezji; 3 — dopływ Odry; 4 — rodzaj kuchenki (piecyka) wmontowanej w drzwiczki pieca; 5 — naczynie do sodowej wody; 6 — pisał utwory o życiu chłopów podkarpackich. silny wiatr, huragan; 12 — rusztowania służące do suszenia siana, rogacze — samce; 13 — najwyższy urząd w dawnej Turcji; 15 — prawy dopływ Dunaju; 16 — przesunięcie pracownika na wyższe stanowisko; 17 — gatunek wierzby; 18 — część sztuki teatralnej; 20 — rzeka w Syberii Wschodniej; 21 — rodziców syn, a twój....; 22 — drewniany, dęty instrument muzyczny; 23 — wpłacasz tam pieniądze; 24 — ma skrzydła; 25 — duże zagłębienie w skale; 26 — specjalny tryb żywienia; 32 — szlak kolorowy lub listwa zdobiąca ścianę; 36 — naturalne skupienie minerału np. miedzi, żelaza, ołowiu; 37 — sygnał podany w razie niebezpiecznej sytuacji; 38 — choroba koni, nazwa minerału o doskonałej łupliwości; 39 — lennik; 40 — ma ptak; 41 — meksykańska bylina o długich, brzegiem kolczastych liściach; 42 — przywidzenie, złudzenie senne; 43 — marzenie każdego chłopca, środek lokomocji; 46 — archipelag wysp na Atlantyku; 50 — roślina zielna uprawiana na karmę zieloną i ziarno; 54 — przegląd wojsk, parada, przedstawienie rozrywkowe; 55 — okresowa wystawa artystyczna, piękny duży pokój; 60 — najwyższy cel dążeń, wzór doskonałości; 61 — etap walki w boksie, jedno okrążenie bieżni; 63 — porozumienie dwóch osób lub więcej co do wzajemnych obowiązków i praw; 64 — widziadło, ułuda, halucynacja; 66 — ryba; 67 — część świata; 68 — izba klasztorna lub więzienna; 73 — staroegipski bóg Słońca; 75 — postać z książki „W pustyni i w puszczy"; 76 — napisał Homer; 77 — obóz wypoczynkowy pionierów na Krymie; 78 — starożytna machina wojenna; 79 — miasto nad Wisłoką; 80 — często płacze; 81 — działacze rewolucji francuskiej (1743 — 1793); 82 — stado koni albo bydła w stepach; 83 — zwierzę leśne; 84 — tak nazywają górale ognisko; 87 — bóg wojny, planeta; 88 — lejkowata trąba; 89 — rzeka we Włoszech Środkowych; 90 — marka samochodu ciężarowego; 91 — ciężar opakowania towaru; 92 — może być z chleba, gasi pragnienie, jest solny, azotowy; 99 — choroba zakaźna, inaczej różyczka; 100 — ma cztery kwartały.

Uwaga! Redakcja nie odpisuje na listy zawierające tylko rozwiązania rozrywek umysłowych.

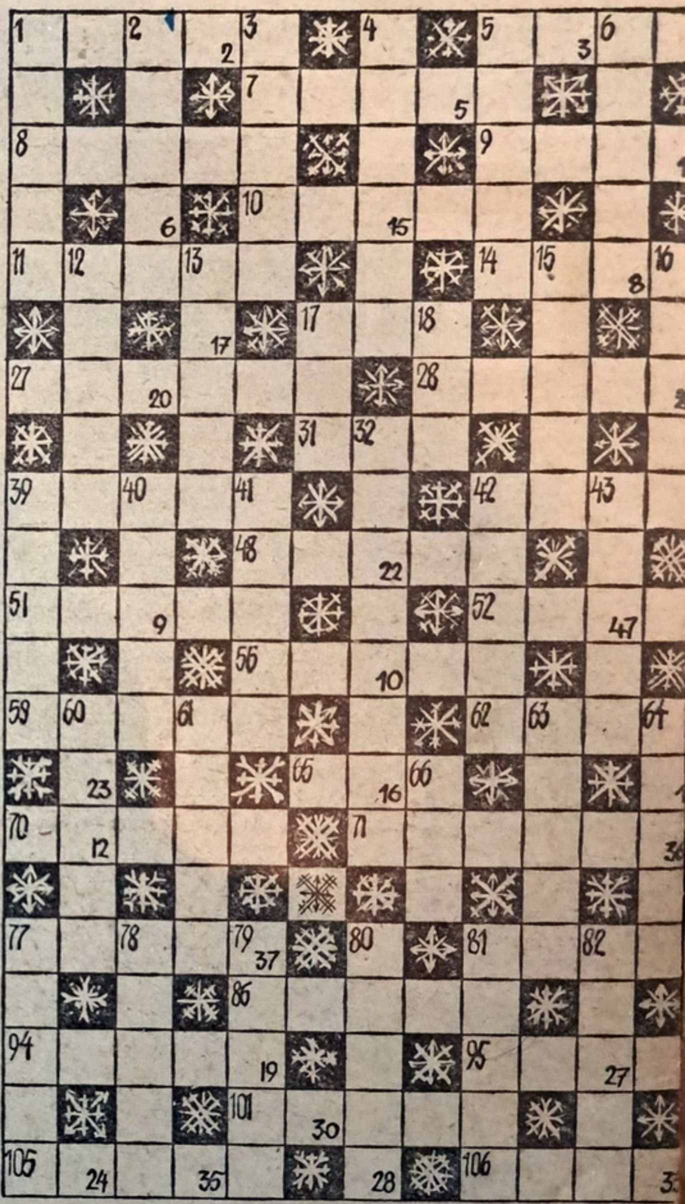

Za tydzień
spotkanie ze
Młodych".
pierwszy nu
wym, 1968 ro
zem o norma
jętości 8 stro
50 groszy. M
nak, że uzna
mniej ciekaw
ry świąteczn

„ŚWIAT MŁODYCH" — GAZETA HARCERSKA — ukazuje się we wtorki i piątki. Redaguje Zespół. Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa". Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna zł 4.00, kwartalna 12.00. Wpłaty przyjmują urzędy pocztowe i listonosze wiejscy do dnia 15 każdego miesiąca. Wpłat dokonywać można na konto PKO Nr 1-6-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch". Warszawa, ul. Wronia 23 do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Zam. 1749 T-44